Nr. 30 (1644). Warszawa, 27 lipca 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polityczna hydropatja.

Społeczeństwo nasze nigdy nie cierpiało na brak politycznych mentorów i gdyby tylko liczbie odpowiadała jakość, mielibyśmy wszelkie szanse osiągnąć stopień celujący zarówno w praktycznej jak i teoretycznej polityce. Niestety, rezultaty bynajmniej nie stanowią reklamy dla metody.

Niepodobna tego wyniku przypisać krnąbrności ucznia. Przeciwnie, przyznać trzeba, że jest on aż nadto posłuszny, uważny i potulnie poddający się kierunkowi mistrzów. Stale słysząc rachunek sumienia wszystkich rzekomych wad narodowych, wystrzega się ich jak ognia i może skutkiem tego wpada w wady wręcz przeciwne, co bynajmniej nie skłania jego mentorów do urozmaicenia treści wygłaszanych kazań. W końcu wychodzi na to, że zupełnie fałszywie stosowana kuracja zwalczając chorobę, której niema ani śladu, stopniowo lecz stale wzmaga inną, zdawna zakorzenioną i utrwala chroniczne cherlactwo.

Ustalił się pogląd, że narodową wadą Polaków jest nadmierna zapalczywość, impulsywność, lekkomyślna i szalona odwaga zawsze gotowa stawiać wszystko na jedną kartę, w nadziei doraźnego osiągnięcia upragnionego tryumfu. Marzycielstwo i romantyzm polityczny obarczono odpowiedzialnością za wszystkie ponoszone dotąd klęski; rękojmię przyszłego bezpieczeństwa kazano opierać na umiarkowaniu, zimnej krwi, drobnostkowej kalkulacji, rozumem politycznym ... wiąc możliwie jak największą redukcję dążeń i aspiracji narodowych. Punktem wyjścia dla tej propagandy były zawsze klęski, pod którymi uginał się naród po każdym chybionym porywie wyzwoleńczym.

Wtedy przychodzili do głosu ci, co się ostali, co przetrwali szczęśliwie pogrom ogólny. Oni mieli rację; z góry przewidywali klęski, trzymali się zdala od wszystkiego; z okien swej bezpiecznej arki spoglądali na wzburzone bałwany potopu. Mylą się tylko sądząc, że co ocala jednostkę, może ocalić i naród. Wśród gradu klęsk powszechnych ratują się nieraz ci, którzy się dobrze skryją i pozwolą o sobie zapomnieć. Nie można jednak całego narodu i jego spraw schować pod ziemię, nie można liczyć na to, iż zapomniany utai i zachowa swe istnienie. Nie można nawet twierdzić, że liczba ocalonych stanowi o wszystkim. Jakość jest stokroć ważniejszą i dlatego wtedy nieraz, gdy ludzie trwają i mnożą się, naród ginie.

Jestto nieomal nieuchronnym skutkiem stosowania do ogółu powyższej, stworzonej dla prywatnej jednostki, metody politycznej i uświęcania reguł filisterskiego egoizmu jako ewangelji narodowej. Poczyniliśmy w tym kierunku tak wielkie postępy, że obfitość zebranych gorzkich doświadczeń nie pozwala się już łudzić co do wartości ...tody.

Cała polityka oficjalnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego w ostatnich latach obracała się w około tej samej osi. Bronić się swą bezbronnością, rozbrajać ...nnością, a nie zdradzać bólu nawet drgnięci... lub jękiem — aby nie drażnić przeciwników. Są to przykazania za-

czerpnięte z przestarzałego już kodeksu grzecznych dzieci, dla których najwyższą pochwałę w ustach wychowawców starego autoramentu stanowiły słowa: „takie dobre, jakby ich nie było“.

Każde z Kół polskich wzorując się jedno na drugim wolniej lub szybciej zbliżało się do tego ideału. Są one takie właśnie, jakgdyby ich wcale nie było, a ponieważ reprezentują naród, który je wybiera, stopniowo wytwarzają suggestję, że i nas — ogółu polskiego, także wcale niema. Nie zawadzają nikomu, nie sprawiają prawie żadnego kłopotu.. Niekiedy skarżą się, a gdy im coś bardzo dopiecze, posuwają się aż do uroczystego oświadczenia, że gotowe są przejść do opozycji. Oczywiście jednak wszystko kończy się na oświadczeniu: grzeczne dzieci naprawdę na to sobie nie pozwolą.

Między najlojalniejszymi stronnictwami europejskich i nieeuropejskich parlamentów niema ani jednego takiego, któreby w pewnych wypadkach nie wzburzyło się i nie stanęło okoniem, tylko Koła polskie wszystkie trzy toczą się gładko, równo, lekko, cicho mknąc po utorowanej ścieżce.

W Wiedniu każda partja kolejno nietylko stawała w opozycji, lecz walczyła obstrukcją. Koło polskie nie odważyło się w obronie interesów, które reprezentuje, obalić ministra.

W Berlinie nawet tradycyjne podpory tronu Hohenzollernów, junkrowie pruscy, umieli w swoim czasie postawić rządowi ultimatum i zagrozić odrzuceniem budżetu wojskowego, o ile ich żądań nie uwzględni. Polacy głosowali zawsze za każdym budżetem, choć ich żądania nigdy uwzględniane nie były.

W Petersburgu wiemy, jak było w trzeciej Dumie.

Wogóle zdaje się, że Polacy zatracili już zmysł opozycji i nawet zdolność do opozycyjnych odruchów.

A mimo to, ile razy w łonie społeczeństwa naszego zdarzy się fakt choćby drobny i świadczący, że w nim są bądź co bądź jakieś grupy czy jednostki, posiadające cokolwiek temperamentu i zdolne doraźnie reagować na ukłucia, ciosy lub policzki, natychmiast zjawia się straż pożarna i chłodnym prysznicem studzi owe rzadkie a bardzo nieśmiałe płomyki. Możnaby myśleć, że kardynalną cnotą życia publicznego są dobre zamiary.

Jedynie tylko w sprawach osobistych umiemy się jeszcze kłócić i burzyć; tam też znajduje ujście reszta temperamentu, jaka się w narodzie uchowała. Do spraw publicznych przystępujemy nawskroś przejęci zasadami światowego kodeksu, z minami od święta i ruchami salonowców.

Mimo, że to przeobrażenie się polskiego typu dokonało się już dawno, aż do obecnego czasu pisano o naszych cechach narodowych przeważnie tak, jak gdybyśmy mieli przed oczami całe chmary konfederatów, rokoszan lub conajmniej legjonistów.

Dziś, gdy Świętochowski nazwał naszych polityków „Grzeczni rycerze“, — *Goniec wieczorny* z żywą aprobatą cytuje jego słowa, sam podobną również daje ocenę, *Tygodnik Polski* im przywtarza, a w końcu nawet *Głos Warszawski* z właściwą sobie wykrętną i chytrą dobrodusznością uznaje, że wprawdzie polityka nasza jest niedołężną, ale to dlatego, że społeczeństwo jest zniedołężniałe.

Oczywiście nie można przeczyć. „Dzielne“ społeczeństwo odebrałoby mandaty niedołężnym politykom lub nie dopuściłoby ich do roli przedstawicieli. O jednym tylko zapomniał *Głos Warszawski*, mianowicie, że owo niedołęztwo było w ciągu szeregu lat starannie pielęgnowane i że on sam ponosi za to dość znaczną odpowiedzialność, gdyż zasadę siedzenia cicho we wszelkich warunkach i najmniej sprzyjających okolicznościach podnieśli do godności pierwszego przykazania w narodowym katechizmie jego właśni ludzie.

Oby obecny moment stał się punktem zwrotnym w edukacji narodowej! Zimna woda bywa czasem dobrym środkiem leczniczym, ale zachodzi obawa, że stosując zimną kąpiel zbyt długo i nieprzerwanie można na drodze przystosowania w społeczeństwie ludzkim wyhodować nadmiar typów rybich.

Przegląd polityczny.

Martwa cisza, która zalega horyzont polityczny nie jest spokojem. Atmosfera jest ciężka, z niedostrzegalnej głębi dochodzą jakoby głuche pomruki nadciągającej burzy, a ponury widnokrąg przeszywają raz wraz błyskawice tajemniczych znaków zapytania. W braku zmian dokonanych, faktycznych, ściśle określonych, daje się dostrzegać ciągła niepewność sytuacji. Całe dotychczasowe status quo w układzie europejskich sojuszów, porozumień, ugrupowań, gwarantujących rzekomo równowagę i pokój — jest zachwiane, i choć dyplomaci nieustannie zapewniają nas, że wszystko stoi w miejscu, widzimy jak wiele wysiłków kosztuje ich utrzymanie pozorów nieruchomości i ratowanie fikcji może dla nich potrzebnej, lecz coraz mniej zasługującej na wiarę. Ani trójprzymierze, ani trójporozumienie nie mają już dziś dawniejszego znaczenia, dawnych rozmiarów i zapewnionej trwałości. Przeciwnie, z obu stron prowadzi się ukryta lecz gorączkowa gra o oderwanie sprzymierzeńców przeciwnikowi a zwerbowanie ich dla siebie, nie mówiąc już o tym, że wśród mocarstw zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych wynurzają się coraz to nowe rafy podwodne, dotąd utajone pod powierzchnią politycznej fali, a grożące rozbiciem sztucznej budowie aljansów.

Najważniejszą i najgroźniejszą z tych raf jest coraz wyraźniej rysująca się na powierzchni bliska likwidacja tak zwanej w Europie kwestji wschodniej, którą później nazwano dla odróżnie-

nia kwestją Bliskiego Wschodu, gdy Daleki Wschód począł silny wpływ wywierać na europejskie stosunki. Zdaje się już nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że lata a może miesiące istnienia Turcji Europejskiej są policzone. Mimo niesłychaną ostrożność i bezprzykładną zimną krew, jakiej rząd turecki składa dowody w ciągu całego trwania wojny włoskiej, oszczędzając sił, nie pozwalając się sprowokować do żadnej żywszej akcji, opierając cały system obrony na tym czynniku, który dotychczas chronił państwo od ostatecznego upadku, to jest na interesach mocarstw, współzawodniczących o wpływy na Bliskim Wschodzie — niegdyś potężne państwo Sulejmanów wali się w gruzy. Ciosy z zewnątrz mogą być dla niego tylko cięciem „mizerikordji"; śmiertelnym jest rozkład wewnętrzny. Z wielkim trudem zażegnane rok temu powstanie albańskie wybuchnęło ponownie ze zdwojoną siłą, a groźniejszym od niego jest rokosz wojsk tureckich, które się z powstańcami albańskimi zjednoczyły. Rewolucja młodo turecka, której szybkie, śmiałe i napozór tanio osiągnięte zwycięstwo tak zaimponowało Europie, że na jej tle u nas już zaczęto tworzyć specjalną naukę, jak rewolucję prowadzić należy, by celu dopiąć, a która potym jednak już potokami krwi okupioną została, — całą swą siłę i sprawność czerpała stąd, że opierała się na armji. Jest oczywiście wiele łatwiejszą rzeczą poskromić bunt przeciw wojsku niż bunt wojska. Obecnie rząd młodoturecki, który wyzyskał całą korzystną stronę tej prawdy, odczuje na swej własnej skórze jej stronę odwrotną. Nie walczy, lecz kapituluje. Ustąpiło całe ministerjum, stworzono inne i ono nie znalazło łaski w oczach armji, którą bezskutecznie usiłowano nakazem i siłą odciągnąć od polityki. Było to z góry przedsięwzięcie chybione, nietylko dla tego, że wychodziło od tego rządu, który jedynie politykowaniu armji zawdzięcza dojście do władzy, brakło mu więc w tym wypadku moralnego autorytetu, lecz i dlatego także, że chcąc coś armji skutecznie zabronić, trzebaby wystawić drugą armję, któraby ją do posłuszeństwa zmusiła lub poświęcić na bratobójcze ciosy jej wierną cząstkę, jeżeli się taką karną i posłuszną część armji chociaż ma do rozporządzenia. Tymczasem Turcja potrzebuje sił zbrojnych wszędzie, a nigdzie ich niema do zbytu i nigdzie może nie jest ich zupełnie pewna. W Albanji, na granicy perskiej, w cieśninach, na wyspach na greckim pograniczu, na wybrzeżach Morza Czerwonego, w Tripolitanji, wszędzie jest zagrożona, a podobno na tym ostatnim teatrze wojny Enwer bej nosi się z zamiarem oderwania się od sułtańskiego zwierzchnictwa i wytworzenia niezależnego państwa arabskiego, o ile tej niezależności nie podetnie u korzenia zabór włoski. Z upadku Turcji wyniknie dla mocarstw europejskich cała sieć kwestji, węzłów gordyjskich, nad których rozplątywaniem biedziłby się długo kongres europejski, jak biedziły się w ciągu XIX wieku całe szeregi kongresów minionych i wątpić można, czy unikną ostateczności przecięcia go mieczem.

Zdaje się, że obecnie wszystkie wysiłki dyplomacji koncentrują się w tym punkcie, a każde państwo jawnie lub skrycie zabiega o to, by w razie pokojowej likwidacji kwestji wschodniej na kongresie lub też krwawej na polach bitew jaknajwięcej atutów zgromadzić w swoim ręku. W tym celu Anglja, Francja i Włochy omawiały kwestję ustalenia stosunków wzajemnych na Morzu Śródziemnym, a bardzo zagadkowe i sprzeczne wieści przenikające do dzienników, pozostawiają jeszcze wciąż otwartym pytanie, czy to nowe porozumienie jest już faktem, czy tylko życzeniem, czy wreszcie chybioną próbą. Gdyby zostało stwierdzonym i urzędownie opublikowanym oznaczałoby to oczywiście koniec trójprzymierza w dotychczasowym jego składzie. Każde przymierze zawiera się przeciw komuś. Trójprzymierze śródziemno-morskie może być zwrócone przeciw Austrji, Niemcom lub Rosji, ale ostatnia hypoteza jest wykluczona nietylko przez istnienie porozumienia między Anglją, Francją i Rosją, lecz przez świeże jeszcze a już właśnie w kwestji Wschodniej zadokumentowane współdziałanie Rosji z Włochami. Oznaczałoby to tedy przystąpienie Włoch do powyższej grupy mocarstw, ale zarazem zwrócenie się ich przeciw dotychczasowym sprzymierzeńcom czyli ogromne wzmocnienie stanowiska Anglji w punkcie, po którym przechodzi najważniejszy jej trakt morski z Indji i koło wybrzeży Egiptu, przez Suez. Równocześnie upadek germanofilskiego gabinetu w Konstantynopolu i spodziewany powrót do władzy partji anglofilskiej wzmacnia bardzo jej szanse szczęśliwego rezegrania partji na Bliskim Wschodzie. I jej horyzont jednak wcale nie jest pogodnym i spokojnym. Zjazd na Bałtyku, choć bardzo powściągliwie omawiany zarówno przez angielską jak i przez francuską prasę, które uznawały za stosowne zapewniać, że on bynajmniej z ich interesami kolidować nie może, musiał bądź co bądź budzić pewien niepokój. Twórca trójporozumienia, Edward VII, zupełnie niedwuznacznie zwracał jego ostrze przeciw Niemcom. Jakąż będzie ono miało wartość dla Francji i Anglji, jeśli owa groźna dla nich a rosnąca wciąż potęga znajdzie nie przeciwwagę, lecz oparcie w Rosji, która w dodatku świeżo uchwaliła tak imponujący program budowy floty. Gdy ów półmiljardowy budżet z papieru przejdzie do portów wojennych i wcieli się w rzeczywiste dreadnoughty i pancerniki, tradycyjna przyjaźń Rosji z Niemcami stwierdzona świeżo na Bałtyku stać się może zabójczą dla angielskiej zasady panowania nad morzami. Dziś jeszcze pociesza się prasa angielska, że zjazd Bałtycki nie osiągnął zamierzonego rezultatu, dotąd jednak jest rzeczą zupełnie zarówno jego cel jak i jego wyniki. Ponieważ bezpośrednio po nim nastąpił ponowny atak włoski na Dardanele, rodziły się przypuszczenia, że między innymi kwestja współdziałania Rosji z Włochami w cieśninach, była przedmiotem narad. Mylnie jednak wnioskujemy, związek następstwa w czasie jest zarazem związkiem przyczyny i skutku.

Wszystko zresztą obecnie jest tak niejasne, że dotąd niewiadomo, jaki był cel przepłynięcia torpedowców włoskich przez cieśninę i czy fałsz leży w przechwałkach tureckich o uszkodzeniu kilku włoskich statków, czy w urzędowym komunikacie włoskim, który stwierdza, że wyszły bez szwanku. Jeżeli ten nowy manewr miał na celu ponowne zamknięcie Dardanelów i wciągnięcie mocarstw europejskich w wir wypadków, to Turcja popsuła grę przez swą przebiegłą cierpliwość. Dardanele nie zamknięto, choć zwężono drogę komunikacyjną i brzegi obwarowano minami. Turcja czeka wyroku przeznaczenia, ale go nie przyspieszy żadnym ryzykownym krokiem. Jej uczucia podziela zresztą większość mocarstw; groźną, nieuniknioną katastrofę usiłują one odroczyć, jeśli nawet niema nadziei, by ją zdołały zażegnać.

PROTEST.

Wszczynanie walk religijnych i wskrzeszanie w XX stuleciu średniowiecznego fanatyzmu potępiamy, jako zbrodniczy zamach na zdrowy rozwój narodu i najcenniejsze zdobycze kultury.

Łączymy przeto nasze głosy w gorącym proteście przeciw nagance duchowieństwa na „Zaranie", a naszym wyklętym braciom z ludu ślemy wyrazy współczucia, otuchy i solidarności.

7) (Ciąg dalszy podpisów)

Robotnicy fabryki Hessego w Lublinie: A. Zieniecki, W. Rudnicki, B. Pawłowski, I. Zyga, P. Bat, A Kępa, I. Matysz, I Dąbrowski, K. Czubajewski, Andrzej Mirosław, A. Winnicki, B. Blacharski, M. Holewa, I. Weber, S. Kozłowski, Józef Kunc, J. Kiyś, I. Chrzanowski, T. Siera, T. Paśnikowski, Franciszek Pietrzak, S Niedzielski, I. Janicki, Z. Janicka, K. Popionik, A. Niezgoda K. Pieńkowski I Jares, F. Poniatowski, S. Romanowski, W Szeremeta, Jan Purc, Michał Kowal, Mikołaj Zuchon, Włodzimierz Rajchelt, W. Kruszewski, B Leszczyński, Stanisław Polakowski, I. Herman, I. Bęczyński, A. Gula, K. Sadowski, I Habros, Bronisław Sadowski, S Swetalski, St. Staszyc, T. Bronikowski, I. Pryiłko, Adam Grudko, Konstanty Truk, Stanisław Kotlarski, I. Wilkos, P. Karolczak, B. Madejski, W. Piontek J. Kuś, S. Skonieczny, A. Paprota, Jan Kowalski, J. Sikorski, W. Dyś, J. Pielak, F. Flis, M. Dyjak, W. Kłosowski, Piotr Wziątek, A Hrust, F. Mirosław, S. Szremowicz, Jan Borkowski, Jan Cytawa, Paweł Koziński, Jan Zuchowski, A. Żurawiecki, A. Trochuniak, S. Matosz, M. Kołodziejski, K. Kotwica, E. Żurawski, Franciszek Zróbek, Wacława Biedacha, Antoni Michalak, Jan Bińczak, Walery Dębski, F. Brzeziński, B Błychasz, M. Rej, W Pielach, A. Dutkiewicz, Stanisław Kaszorski, Michał Gorzkowski, Michał Ciechoński, Józef Klimski, M Staszewski, Edward Byczyński, Michał Izdebski, Bolesław Bielak, Sylwin Księski, Jan Spust, Z. Sokolski, Józef Królikowski, Stefan Owsianko, Ignacy Duda, Stanisław Gręda, Franciszek Janczarek, Bolesław Owsianko, Józef Bochiński, Bolesław Mizerecki, Adam Rydzewski, Stanisław Dzierżawiec, Wincenty Popielecki, Feliks Świderski, Feliks Szefczyński, Antoni Leszczyński, J. Twardowski, S. Blacharski, B. Wojtowicz, L. Piórkowski, F. Habros, B. Blachani, S. Kunc, T Wójcik, A. Świderski, S. Torczyk M Brajbik, B. Biegajło, I. Galiński, B. Fodemski, S. Sokólski, A. Trachowski, E Migała, Edward Tkaczyk, S. Majewski, W. Kwiatkowki, Jan Jareś, Serafin Zarychta, Jan Mistkowski, K. Kołtowski, Teofil Wasilewski, Juljan Jasiewski, Marja Burdzicka.

Z Łodzi: Ludwik Ciszewski, Teodor Krusze, Stefanja Śniady, Władysław Lemański, Bronisław Grabowski, Władysław Mirtkowski, Jan Wojtarczyk, Józef Lemański, Władysław Bączkowski, Wincenty Cygiela, Andrzej Stawiszewski, Józef Nowak, Józef Krawczyk, Wiktorja Dziuba, Józefa Marczewska, Marjanna Przepiórkowska, Marjanna Rudnicka, Franciszek Paszta, Władysław Łuczak, Antoni Rajski, Andrzej Stankiewicz, Anastazy Hek, Jakób Mardyła, Wincenty Perski, Teodor Orłowski, Zygmunt Nowicki, B. Szymański, Antóni Pukropiak, Hipolit Małachowski, Jan Pierzchalski, Jakób Kott, Eleonora Kott, Franciszek Ostrowski, F. Kabula, W. Pawlak, A. Kabula, Roman Aleksandrowicz, Franciszek Nędza, W. Jaśniewicz, W. Stolarz, W Byk, A. Bugajak, Kwapiński, Janiak, Kiźlik, Sułkowski, Pytlik, Medyński, Pawlak, Kindzior, Moszczyński, B. Małecka, Szukalski, K. Stolarz, M. Zielonka, L. Zielonka, A. Majchrzakowska, I. Zentek, Tuszyński, Z. Libich, E. Zawierucha, Jan Zawierucha, A. Zawierucha, Józef Szewczyk, Jan Pawlak, Lucjan Kiełbasiński, B. Hałoda, Walenty Krosiński, Józef Krosiński, Florjan Wieczorek, Ludwik Szumigaj, Walenty Plebanek, Antoni Janiak, Jakób Turek, Józef Szczepaniak, Piotr Kluka, Stanisław Urbaniak, Antoni Chałaj, Józef Krosiński, Jadwiga Krosińska, Zofja Wieczorek, Kazimiera Kawecka, Stanisław Rubarski, Stanisław Tokarski, Antoni Wiczak, Józef Nowak, Michał Glinkowski, Antoni Cherbicki, Jan Cherk, Stanisław Kwarta, Michał Zdyńczny, Walenty Przybylak, Franciszek Wiśniewski, Leopold Lebelt, K. Lebelt, Oleś Muszka, Gustaw Horpier, Ludwik Wardziński, T. Skibniewski, J. Thile J. Bzdręgowski, J. Rydel, Gralski, A. Rist, K. Rajnold, A Moszyński, R. Talbe, J. Szafrański, S. Dąbrowski, I. Grining, Adolf Glezer, F. Otto, Oskar Lebelt. Mieczysław Macender, Władysław Bernatowicz, Tomasz Wenlewicz, Andrzej Gwiaździński, Jan Ziółkowski, Józef Wiśniewski, Ludwik Owczarek, Bronisław Gajówka, Adolf Torens, Józef Marchnicki, Feliks Manikowski, Walenty Król, Kęblowski, Ludwik Torens, Edward Macender, Adam Macender, Jan Macender, J. Brzeziński, Kazimierz Mondalski, Wincenty Sławiński, Jan Król, Józefa Król, Henia Król, Janina Kowalska, Tomasz Walczak, Roman Ślęzak, Roman Fraszczyński, Feliks Dembowski, Józef Baranowski, Józef Kołtuński, Edward Tszeszel, Józef Pałęcki, Leon Grzegorzewski, Adam Kowalczyk, Stefan Pastuszko, Stanisław Bebelski, Szczepan Gruczkiewicz, Władysław Slojewski, Bronisław Eichblat, Władysław Janiak, Józef Krysiak, Konstanty Mordalski, Roman Merszol, Stanisław Kraszewski, Stanisław Cyrulski, Stanisław Nawrocki, Stefan Kaminkiewicz, Edmund Lipke, Edmund Cyranowski, Marcela Szymańska, Ignacy Stępiński, Kazimiera Stępińska, Franciszka Ankutowicz, A. Kosmagowski, Ludwikowa Pogorzelska, Jan Grezel, Józefa Arkuszewska, Adam Kapuściński, Fr. Kapuścińska, Józef Michalski, Ludwik Legocki, A. Kapuściński, Apolinary Kuberski, Władysław Nowicki, A. Dzięgielewski, K. Nowicka, B. Jędrzejewska, S. Plażewski, S. Olszewska, Ignacy Zajfert, Cecylja Zajfert, Franciszek Łukomski, Bronisława Łukomska, Bolesław Gerke, St. Grzybowski, St. Grabowski, A. Nowacki, A. Rzepka, Ferdynand Walten, A. Cylke, Stefan Ozardowicz, Helena Ozardowicz, Józefa Gortat, Wawrzeniec Gortat, Wł. Lewicki, Anna Szcięgowska, Aniela Habrowska.

Z Krakowa: Jan Wieczyński, Wacław Rowiński D-r Zygmunt Szymanowski, Józef Izdebski, Stanisław Puj, Feliks Gwiżdż, Józef Zaremba, Franciszka Zygmuntowa, Adolf Kielza, Marja z Pietkiewiczów Kielza, Adam Witkowski, Albert Jabłczyński, Zygmunt Błażejewicz, Stanisław Garliński, Włodzimierz Józef Mężyński, Franciszek Guzik, M. Bobrowski, Stefan Policzkiewicz, Zofja Lubodzińska, Michał Zarzewski, Jan Siwek, Franciszek Skarzyński, Piotr Gawin, Józef Setkowicz, Franciszek Siostrzanek, Władysław Michoński, Karol Słupca, Stanisław Klimas, Gaweł Stanisław, Józef Rojek, Władysław Malinowski, Antoni Brzeda, Michał Jeżewski, Bolesław Jaroszewski, Józef Górny, Zygmunt Jasiński, Jan Sielmach, Stanisław Delekta, Jan Rydza, Ludwik Neider, Alfred Simonetti, Ignacy Moskowityn, Marceli Bogucki, Józef Raniecz, Bolesław Kadziołek, Stanisław Gawel, Antoni Kołtonowicz, Kazimierz Maryan, H. Fellek Jan Ozinder, Karol Janotka, Tomasz Michalik, Józef Nowak Stanisław Clichy, Stanisław Walek, Franciszek Rzecznik, Leon Rosarek, Stefan Wybranowski, Stanisław Kurzydło, Eugenjusz Habina, Karol Topiński, Marja Stachowicz, z Syderewiczów St. Witkowska, Wacław Furmańczyk, Włodzimierz Piątkowski, Antoni Jędrzejewski, Mikołaj Opalluch, Michał Tkacz, Bolesław Kurkiewicz, D-r August Wróblewski, Helena Paprocka.

Moda.

Szkic społeczno-polityczny.

I. Określenie mody i zakres niniejszej pracy.

Wyrazu moda, w najciaśniejszym jego znaczeniu używa się zazwyczaj dla określenia strojów kobiet ze sfer zamożnych. Magazyny strojów damskich noszą nawet nazwę ogólną magazynów mód. Jest to wszakże z ich strony niczym nieusprawiedliwione przywłaszczenie, nietylko bowiem stroje w ogóle, a damskie w szczególności należą do dziedziny mody, ale i inne objawy życia zewnętrznego, jak np. style budowlane i urządzenia mieszkań, stosunki towarzyskie, gry i zabawy, widowiska i spacery, ba, nawet pogrzeby i żałoby, podlegają jej panowaniu.

Nie wyczerpalibyśmy jednak pojęcia mody, gdybyśmy tutaj się zatrzymali.

Dlaczego bowiem pani X. znosi przez cały wieczór męczarnie na koncercie symfonicznym, którego nie rozumie, dla czego czyta książkę, nad którą poziewa, dla czego udaje wzruszenia, których nie doświadcza? Odpowiedź na te pytania może nam dać tylko moda.

Bezwzględna ta władczyni wciska się wszędzie: nie zadawalając się władzą nad naszą istotą fizyczną, opanowuje nasz mózg i serce, tworzy prawa nie tylko dla naszej odzieży, ale i dla zewnętrznych objawów naszych myśli i uczuć. Obok fryzur i kapeluszy moda narzuca nam dzieła pewnych artystów, wiersze pewnych poetów, teorje pewnych filozofów.

Rousseau był modny jak robron, a Schiller jak krynolina. Ludzie kochali się kolejno sentymentalnie á la Werther, romantycznie a la Byron, uczenie á la Baudelaire.

Hipolit Taine, charakteryzując arystokrację francuzką z końca XVIII wieku mówi o modnym jej ateizmie, a potym o powrocie do religji; a na innym miejscu, jak to „przesadna uczuciowość rozlewa się na wszystkie szczegóły życia prywatnego... entuzjazm staje się obowiązkiem... prostota wchodzi do obyczajów... a wszystko to jest objawem mody".

Vaublanc, cytowany przez Taine'a, pisze we wspomnieniach z 1774 r.: „Taka była wówczas moda: świat cały był ekonomistą; rozmawiano jedynie o filozofji i ekonomji politycznej, a zwłaszcza o ludzkości i środkach wspomożenia kochanego ludu; te dwa ostatnie wyrazy były na wszystkich ustach [1]).

Przykłady te, które możnaby mnożyć do nieskończoności, wystarczają dla uwydatnienia szerokości zakresu mody.

Ogarniała ona i ogarnia wszystko: nie obroniła się przed nią ani religja, ani sztuka, ani filozofja, ani polityka.

Strojna dama zapytuje mody nietylko o to, jaką ma włożyć suknię i jak ufryzować włosy, ale także, w co ma wierzyć, czym się zachwycać, co potępiać.

Pod tym względem wszakże moda nie jest wymagająca.

Nie żąda ona od tej damy ani rzeczywistej wiary, ani wewnętrznego zachwytu lub oburzenia; nie każe jej być taką lub inną, każe jej tylko taką lub inną się wydawać, lub udawać.

[1]) Hip. Taine. Francja przed rewolucją. (Przekład polski.)

Pomimo to jednak, że dziedzina mody jest wyłącznie zewnętrzna, że panuje nad formą, a nie nad treścią, nie zmniejsza te jej znaczenia, jako jednego z czynników twórczych życia publicznego i duszy indywidualnej.

Obok zwyczaju, prawa i moralności, moda jest jednym z regulatorów stosunków społecznych, jednym, ale nie jedynym, źródłem jednostajności w objawach zewnętrznych życia zbiorowego.

Tak jak zbytnim zwężeniem pojęcia mody byłoby ograniczenie go do stroju, tak znowu zbytnim rozszerzeniem, gdybyśmy wszystkie objawy naśladownictwa za modę uważać chcieli.

Jeżeli moda ogarnia wszystkie dziedziny naśladownictwa w objawach życia zewnętrznego, to nie ogarnia wszystkiego w tych dziedzinach.

Nawet w swym ciasnym zakresie moda dzielić musi swą władzę z rywalem bardzo potężnym, ze zwyczajem, z którym ciągłą toczy walkę o panowanie.

Zwyczaj bierze początek w tradycji, jest spadkiem po przeszłych pokoleniach, pochodzi często z głębi ducha narodowego, gdy moda zrywa z przeszłością, wypiera tradycyjne formy, czerpie obficie i przeważnie z obcych źródeł.

Zwyczaj jest naśladownictwem przodków, moda naśladownictwem współczesnych; zwyczaj dąży do utrzymania form dawnych, moda do zastąpienia ich nowymi; zwyczaj hamuje zbyt częste i pospieszne zmiany, moda przeciwdziałała utrwalaniu się form przeżytych.

Stąd wynika, że, gdy zwyczaj tworzy formy niezmienne, trwałe, moda jest zmienna, przemijająca, stanowi w rozwoju ogniwo przejściowe.

Celem każdej mody jest stać się zwyczajem, utrwalić na czas dłuższy stworzoną przez się formę.

Często też się jej udaje: z chwilą jednak, gdy pewien szablon społeczny ustala się, wchodzi w zwyczaj, przestaje być modą.

Dla tego też wybitną cechą mody jest jej zmienność, i moda jest nią o tyle i dopóty, o ile i dopóki jest zmienna i nietrwała. Za modę więc uważać będziemy tylko te zmiany w objawach życia zewnętrznego, które dążą do wyparcia form tradycyjnych i zajęcia ich miejsca, które trwają za tym dopóty tylko, dopóki trwa ich walka ze zwyczajem.

Rezultatem walki jest zanik zupełny danej mody lub powstanie nowego zwyczaju.

Z przytoczonym przez nas określeniem mody, ograniczającym jej zakres do nowych objawów życia zewnętrznego, zgadza się większość uczonych i publicystów, którzy się modą zajmowali, [2]) wielu nawet, nie uważa za potrzebne rozbierać znaczenia wyrazu moda, z toku bowiem ich rozumowań widać, iż uważają zakres jej panowania za ustalony, ograniczony do form zewnętrznych, często nawet wyłącznie do ubrania. [3])

Niektórzy wszakże z G. Tarde'm na czele nadają wyrazowi „moda" znaczenie, którego wyraz ten ani w mowie potocznej, ani w rostrząsa-

[2]) por. Rudolph Schultz. Die Modenarrheiten, Berlin 1868, str. 1. Friedrich Teodoer Viacher. Mode und Cynismus. Stuttgart. 1889 str. 42 i nast.

[3]) por. Friedrich Kleinwächter. Zur Philosophie der Mode. Berlin 1880, Wilhelm Roscher. Grundlagen der Nationalökonomie. Stuttgart. 1900. Georg Simmel. Philosophie der Mode. Berlin. Werner Sombart. Wirthschaft und Mode. Wiesbaden 1902. E. Gomner-Caullo, Psychologie de la mode. Paris 1910

niach ekonomistów, estetyków, a nawet socjologów nie posiada.

Tarde, wychodząc z założenia, że zasadniczym czynnikiem wszelkiego rozwoju w życiu społecznym, a więc rozwoju języka, religji, nauki, sztuki, literatury i stosunków ludzkich we wszystkich dziedzinach, jest naśladownictwo, znajduje, że podąża ono w dwóch kierunkach: jako naśladownictwo w czasie t. j. przeszłości, które nazywa zwyczajem i jako naśladownictwo w przestrzeni t. j. współczesności swoich i obcych, co nazywa modą. Przeciwstawienie to zupełnie słuszne, skorzystaliśmy też już z niego powyżej.

I gdyby Tarde ograniczył pojęcie mody do zakresu który wyraz ten posiada, jego analizę mody i zwyczaju można by przyjąć w zupełności.

Moda ma wszakże dla niego zupełnie inne znaczenie. Obejmuje on tą nazwą wszystkie bez wyjątku zjawiska życia psychicznego i społecznego ludzkości, wszystkie prądy umysłowe, moralne, estetyczne, religijne, polityczne, i wszystkie objawy życia zewnętrznego, o ile są nowe, o ile zwalczają kierunki tradycyjne. Walka mody ze zwyczajem jest dla niego tajemniczą sprężyną wszystkich starć konserwatyzmu z liberalizmem.[4]) Gdyby wyrazy moda i zwyczaj nie miały określonego znaczenia, Tarde miałby zupełne prawo użycia ich do swych uogólnień. Ponieważ jednak mają one takie znaczenie, nieraz zdarza mu się, że prądy umysłowe lub moralne, miesza z ich zewnętrznymi objawami, a zużytkowawszy wyrazy moda i zwyczaj na określenie pewnych prądów duchowych, nie może już ich później stosować do właściwych, czysto zewnętrznych, objawów, mody i zwyczaju. A tymczasem pomiędzy pewnym kierunkiem, a modą, którą on wytwarza, zachodzi znaczna różnica, i utożsamiać ich nie można.

Moda to nie jest kierunek filozoficzny lub społeczny, ale jego odbicie, często karykatura.

Tak np. Byron, który wstrząsnął głęboko duszą całej Europy i wyrył na niej swe potężne piętno, dał początek „byronizmowi“, który był modny na użytek czysto zewnętrzny, dla pozy dam i panów w salonach.

Około 1830 r. kobieta musiała być czuła i tkliwa, marzyć o ofiarach i poświęceniu, pogrążać się w myślach dręczących, być bladą, opanowaną przez milczące, niematerjalne cierpienie, być duszą niezrozumianą... i to wszystko sprawiało jej wielką rozkosz.

Była to oczywiście tylko karykatura tego przewrotu umysłowego, który znalazł wyraz w wielkiej poezyi romantycznej i prowadził Europę do 1848 roku.

W dziesięć lat później panuje inny kierunek modny: są to „lwice salonowe“, palące cygara, mówiące głośno o wszystkiem, oddające się sportom, dumne ze swego zdrowia, zręczności i dobrego apetytu.

„Lwice“ był to odgłos budzących się prądów emancypacyjnych.[5])

W ten sposób moda zużywa dla swych celów zdobycze ducha ludzkiego i postępu społecznego. Bierze z nich wszystko co zewnętrzne, tworzy z nich modę, stanowiącą o dobrym tonie. Ruchy, najdalsze pozornie od życia światowego, pociągają elegantów, a szczególnej eleganiki. W 1830 r. uczęszczały gromadnie na posiedzenia saintsimonistów,[6]) a dziś na prelekcjach Henryka Bergsona spotyka się najwytworniejsze toalety i damy ze sfer najbogatszych. Tego rodzaju zjawiska uważać będziemy za modę w pracy niniejszej.

Jest ona dla nas naśladownictwem wyłącznie zewnętrznych form życia i o tyle tylko, o ile te formy stanowią nowość, zwalczającą formy poprzednie.

Używać więc będziemy wyrazu moda w tym ścisłym znaczeniu, które ma ona w mowie potocznej, co zresztą nie zmniejsza jej doniosłości, ze względu na wpływ zewnętrznej strony życia i na jednostki i na społeczeństwo, a także ze względu na pouczające wskazówki, które dają nam mody, jako odbicie zewnętrzne prądów duchowych i społecznych.

Weźmy dla przykładu strój, a przekonamy się, że nie jest on ani obojętnym, ani przypadkowym, lecz przeciwnie, tak zrasta się z człowiekiem, że stanowi dla nas jego charakterystykę duchową.

„Czyż żyje człowiek, mówi Tomasz Carlyle w swem znakomitem dziele „Sartor Resartus“, który by mógł sobie wyobrazić nagiego księcia of Windelstraw, przemawiającego do nagiej izby lordów? Jak gdyby zabijający gaz ją udusił, tak pada wstecz wyobraźnia od tego widoku“.

A czyż możemy, a raczej czyż wyobrażamy sobie senatora rzymskiego inaczej, jak w todze, średniowiecznego rycerza bez pancerza i szyszaka, a Napoleona I np. w bieliźnie? Korporacje, oparte na posłuszeństwie, wyłączającem duchową indywidualność, noszą strój jednakowy, jak np. duchowieństwo lub wojsko, i odwrotnie, artyści, chcąc zaznaczyć swą indywidualność, a zarazem pogardę dla „zjadaczy chleba“, filistrów, tworzą swą odmienną modę, noszą miękkie kapelusze à la Garibaldi, długie włosy i. d. p.

Pewne uroczystości i chwile, wytwarzając nastrój sobie właściwy, wymagają też strojów odpowiednich. W święto, najbiedniejszy nawet człowiek uważa za konieczne włożyć strój lepszy. Inaczej ludzie ubierają się na pogrzeb, a inaczej na wesele.

Są to wszystko rzeczy aż nadto znane i oczywiste. Trudniej nieco ustalić związek pomiędzy prądami duchowymi, społecznymi i politycznymi, nurtującymi pewne okresy dziejowe, a strojem w tych okresach noszonym.

A jednak taki związek istnieje i on to właśnie określa charakter mody w różnych epokach.

Pomimo anegdot związanych z początkiem mód poszczególnych, które mogły by zbudzić przypuszczenie o dowolności i przypadkowości stroju, niewątpliwie musiała każda moda odpowiadać nastrojowi i potrzebie chwili, aby modą stać się mogła.

Jak słusznie mówi Schultze, moda przygotowana jest zawsze przez bieg historyi i znajduje się z nią w ścisłym związku, chociażby czasami nawet trudno było się go dopatrzeć. Moda nie jest czemś oderwanem, co samo przez się powstaje. Charakteryzuje ona swą epokę.[7])

Nie możemy tutaj biegiem historyi uzasadniać tego twierdzenia. Ale oto parę jaskrawych przykładów, świadczących o ścisłym związku pomiędzy strojem, a usposobieniem duchowem danej

[4]) Dr. C. Bouglé, Idea równości (przekł. polski). Lwów 1903, str. 156. — Gabriel Tarde. Lois de l' imitation, [illegible]

[5]) [illegible]

[6]) [illegible]

[7]) [illegible]

epoki. Kiedy po zwycięstwach Napoleona, Fichte w swych głośnych „mowach do niemieckiego narodu", budził w Niemczech uczucia patrjotyczne, kiedy Savigny nawoływał ich do stworzenia prawa narodowego i wyzwolenia się z pod wpływów obcych, prawie jednocześnie, w 1811 r., jak opowiada według źródeł ówczesnych Antonina Steimann, we Frankfurcie nad Menem, na wielkim zgromadzeniu kobiet wszystkich stanów uchwalono wyzwolenie strojów kobiecych od wpływów francuzkich, i stworzenia stylu nardowego. Wkrótce uchwałę wprowadzono w wykonanie. Damy frankfurtskie przyjęły stroje staro rzymskie. Miały one, dodaje Steimann z ironią, stanowić nowy strój narodowy niemiecki! *) Być może jednak autorka niemiecka nie drwiła by ze swych rodaczek z przed stu lat, gdyby zważyła, że i prawo narodowe niemieckie, a mianowicie zapoczątkowana przez Savigny'ego szkoła historyczna, w poszukiwaniu prawa narodowego, zwróciła się do źródeł rzymskich. Kierunek więc, który niemki chciały nadać swym strojom, zbiegł się z ideami nauki niemieckiej, co świadczy, jak ścisły istnieje związek pomiędzy strojem i tendencjami ducha ludzkiego.

(C. d. n.). *Józef Lange.*

*) Illustrirte Zeitung № 3530 z 1911 r.

W zaborze pruskim.

Tymczasowe dane statystyki ludnościowej. Dwujęzyczni. Wybiegi hakatystyczne. Zjawisko zagadkowe. Tendencje polityczne. Polacy na wychodźtwie.

Ukazały się wyniki spisu ludności w Prusach dokonanego w grudniu r. 1910-ego. Nie są to jeszcze wyniki ostateczne, ani szczegółowe. Sprawozdanie tymczasowe zestawia dane najogólniejsze, przyczym w najbardziej interesującej nas rubryce — statystyki narodowej — brakuje szeregu pozycji, bez których niepodobna wyrobić sobie zdania o ogólnym stanowisku ludności polskiej. Tak np. sprawozdanie podaje cyfry, dotyczące tylko tej części ludności polskiej, która za polską jest urzędowo uznana. Natomiast dane, odnoszące się do Kaszubów i Mazurów, traktowanych jako narodowości odrębne od Polaków, odlozono na później. Skutkiem tego nie możemy nawet ustalić ogólnej cyfry Polaków przez dodanie do cyfry urzędowej — „dwujęzycznych" Mazurów i Kaszubów. Bo liczba Polaków, ustalona urzędowo na 3,500,621 jest w rzeczywistości o kilkaset tysięcy wyższa, ale jak się ta różnica na naszą korzyść przedstawia, można będzie stwierdzić dopiero po ogłoszeniu cyfry Kaszubów i Mazurów. Na razie moglibyśmy dodać chyba liczbę „dwujęzycznych" bo są oni, rozumie się, Polakami. Dziwić się należy, że statystyka pruska nie korzysta jeszcze w szerszym zakresie z przenoszenia Polaków do działu „dwujęzycznych". Przecież cała inteligiencja polska, całe mieszczaństwo, znaczna część robotników nawet chłopów, zaboru pruskiego, faktycznie umie po niemiecku. Można by też, wciągając wszystkie te żywioły do rubryki „dwujęzycznych" znakomicie osłabić (na papierze) ludność polską. Ale statystycy pruscy są jeszcze na tym punkcie dość skromni, choć trzeba przyznać, że objawiają dość znaczny pęd w kierunku fabrykowania ludności dwujęzycznej. Tylko z regiencji poznańskiej, ludność dwujęzyczna, zupełnie niewiadomo z jakich powodów zmniejszyła się. Bo kiedy w r. 1905-ym dwujęzycznych było tam 8,984, to w pięć lat później cyfra ta stopniała do 6,867 — najlepszy dowód, jak dowolna jest zupełnie ta rubryka. Przecież chyba najbardziej rozpaczliwie usposobiony hakatysta nie będzie przypuszczał, jakoby w ciągu ostatnich lat pięciu faktycznie zmniejszyła się liczba Polaków, mówiących i po niemiecku. Liczba ta naturalnie musiała się i w regiencji Poznańskiej zwiększyć, ale skutkiem wyższego uświadomienia narodowego i większego pogłębienia się antagonizmu polsko-niemieckiego musiał tam wzróść opór przeciwko zapisywaniu Polaków do rubryki dwujęzycznych. Natomiast w regiencji Opolskiej (na Śląsku), gdzie ludność polska jeszcze w znacznym stopniu nie unarodowiona i ulega wpływom niemieckiego centrum, statystykom pruskim udało się podnieść cyfrę dwujęzycznych z 54,094 w r. 1902 do 88,798. W regiencji Kwidzyńskiej (Prusy Królewskie) liczby dwujęzycznych podwojono. Wogóle naliczono ich obecnie 131,449, kiedy spis przedostatni wykazał ich tylko 80,028.

Liczba Polaków zwiększyła się we wszystkich prowincjach Prus z wyjątkiem jednej — Prus Zachodnich. Te ostatnie dzielą się na dwie regiencje — Kwidzyńską i Gdańską. Otóż w regiencji Gdańskiej w sposób zgoła niezrozumiały i wręcz zagadkowy w międzyczasie lat 1905—1910 zniklo przeszło 26,000 Polaków. W r. 1905-ym było ich tam 129,545, w pięć lat później — tylko 102,030. I napróżnobyśmy się silili rozwiązać tę dziwną zagadkę przy pomocy rozumowania opartego na faktach realnych. Wiemy przecież, że ani tłumna emigracja z tej właśnie regiencji nie dała się zaznaczyć, ani pomoru wśród ludności polskiej w ciągu tego fatalnego pięciolecia tam nie było, zaś o zgiermanizowanie całego przyrostu naturalnego wraz z 26,000 dodatkowymi nie mogło być mowy. Przecież nawet liczba dwujęzycznych z tej regiencji nie zwiększyła się znacznie, bo się podniosła zaledwie o 1,857 osób. Zresztą w daleko bardziej zniemczonej regiencji Kwidzyńskiej tych samych Prus królewskich ludność polska wzrosła. Czym że się więc tłumaczy ten niezrozumiały fakt gwałtownego zaniku polskości w regiencji gdańskiej? Oto niczym innym jak przeniesieniem Polaków do rubryki kaszubskiej. Ponieważ kaszubski obszar etnograficzny mieści się właśnie na terytorjum regiencji Gdańskiej, przeto nadawała się ona wybornie do przeprowadzenia takiego eksperymentu. Niestety, nie mając danych co do liczebności Kaszubów, nie możemy sprawdzić, ile mniej więcej Polaków „skaszubiono" na poczekaniu *ad majorem Borussiae gloriam*.

Z ogłoszonych na razie danych specjalną uwagę zwracają te, które dotyczą regiencji Olsztyńskiej. Jest to ta część Prus Książęcych, w której ludność polska wyznaje katolicyzm, skutkiem czego nie jest przez statystyków pruskich uważana za mazurską. Otóż ta katolicka ludność polska Warmji wystawiona jest na największe niebezpieczeństwo germanizacji. Pozbawiona prawie zupełnie własnej inteligencji, ulega wpływom kościoła, który na Warmji występuje w charakterze otwartego narzędzia germanizacji. Księża katoliccy w tym dziedzictwie Ignacego Krasickiego są niemal co do jednego hakatystami w przebraniu centrowym i z całą energją uprawiają germanizację przez kościół. W ostatnich czasach załamywano też zwykle ręce nad

Warmjanami, uważając ich niemal za skazanych na zagładę. Tymczasem — o dziwo — wyniki ostatniego spisu ludności wykazują właśnie w regiencji Olsztyńskiej względnie najsilniejszy wzrost żywiołu polskiego. W r. 1905-ym naliczono tam Polaków 55,615, w pięć lat później — 73,154 i to pomimo urwania Polakom blisko 8,000 dla wzmocnienia rubryki dwujęzycznych. Cyfry te świadczyłyby o wzroście świadomości narodowej na Warmji, boć niepodobieństwem jest, aby statystyka pruska właśnie tu, w tym zakątku, bez mała tak samo zapomnianym jak Mazowsze pruskie, chciała przedstawić położenie ludności polskiej w cyfrach przesadnych. Przeciwnie i tu, tak samo jak na całym obszarze ziem polskich w Prusach, ostatni spis był przeprowadzony z wyraźną tendencją wykazania iaknajwiększych postępów germanizacji. Chodziło o przedstawienie opinji publicznej, jawnie rozczarowującej się do polityki hakatyzmu, jaskrawych dowodów jej skuteczności w postaci zmniejszenia się procentowego ludności polskiej. Tym się też tłómaczy niepodanie na razie cyfr, odnoszących się do Mazurów i Kaszubów.

Statystykom hakatystycznym chodziło najwidoczniej o udowodnienie, że procentowy stosunek Polaków do Niemców zmniejszył się. Ponieważ zaś w lat. 1900 — 1905 zauważono tendencję wręcz przeciwną, przeto teraz ponaciągano odpowiednie cyfry do celów reklamy hakatystycznej za pomocą zwiększenia „dwujęzycznych“, Kaszubów (w regiencji Gdańskiej), a może i Mazurów. Nie należy jednak przypuszczać, aby tą drogą osiągnięte rezultaty mogły komu zaimponować. Udało się bowiem zmiejszyć procentowy stosunek Polaków do ogółu ludności Prus z 8,92 proc. (w r. 1905) do 8,72 proc. czyli o 0,2 proc.! Co się zaś tyczy wzrostu procentowego Niemiec, to wyraża się on drobną cyfrą 0,09 proc.

Według danych ostatniego spisu liczba Polaków (znowuż bez dwujęzycznych, Kaszubów i Mazurów) powiększyła się od r. 1905 o 5,12 proc., gdy liczba Niemców wzrosła w tym samym czasie o 7,52 proc.

Spis ostatni wykazuje bardzo znaczny wzrost ludności polskiej na wychodźtwie, przedewszystkim w Westfalji i Nadrenji, gdzie Polaków (znowu bez Mazurów i Kaszubów) jest 281,111. Jakkolwiek tworzą oni tam zwartą masę, w bardzo słabym stopniu ulegającą germanizacji i żyjącą własnym, odrębnym życiem organizacyjnym, to jednak stały a znaczny dopływ wychodźtwa polskiego na zachodnie krańce Niemiec odbija się ujemnie na położeniu Polaków w rdzennie polskich prowincjach. Zwłaszcza że kupowanie ziemi przez powracająch z Westfalji wychodźców napotyka na wielkie trudności.

Obserwator

BADANIA NAUKOWE.

Filozofja Henryka Bergsona

IV. Na drogach intuicji.

Pojęcie intuicji istniało w filozofji oddawna; Bergson atoli pojęciu temu pierwszy nadał treść pozytywną. Przedewszystkim zaś wskazał on i określił jej zadania: intuicja daje nam bezpośrednie ujęcie naszej własnej świadomości oraz zapewnia nam bezpośrednią jedność poznawczą z przedmiotami otaczającego nas świata. „Intuicją — czytamy we *Wstępie do Metafizyki*[1]) — zwiemy ten rodzaj współczucia albo sympatji intelektualnej, za której pomocą przenosimy się do wnętrza jakiegoś przedmiotu, aby zejść się z tym, co ma on w sobie jedynego, a więc niewyrażalnego“.

Przeciwieństwem takiego pojęcia intuicji, jako aktu jednolitego, ujmującego przedmiot każdy od wewnątrz, bywa — analiza. „Analiza — tłumaczy Bergson[2]) — to czynność sprowadzania przedmiotu do pierwiastków już znanych, czyli wspólnych temu i innym przedmiotom“. Analizować tedy znaczy to wyrażać rzecz jakąś za pomocą tego, co nią nie jest. Wszelka analiza jest przekładem, rozwojem w symbolach, wyobrażeniem osiągniętym na zasadzie kolejnych punktów widzenia, które są tylomaż punktami styczności przedmiotu nowego, badanego — z innymi, które już mamy za znane. W tym swoim wieku iście nie nasyconym pragnieniu objąć przedmiot, dokoła którego skazana jest krążyć, analiza bez końca mnoży punkty widzenia, aby uzupełnić wyobrażenie zawsze niezupełne; zmienia niestrudzenie symbole, aby udoskonalić przekład wciąż niedoskonały. Ciągnie się przeto do nieskończoności. Ale intuicja — tam, gdzie jest możliwa — jest jednym prostym aktem“.

Gdy więc myśl analityczna krąży zawsze po drogach znanych już uprzednio, intuicja bywa rzutem w nieznane. Łatwą będzie wobec tego rzeczą uwydatnić, czym różni się intuicja, w pojęciu Bergsona, od intuicji, branej w znaczeniu klasycznym. Metafizyka bowiem klasyczna również odwoływała się nieustannie do intuicji: odwoływała się do niej celem uzasadnienia swych najistotniejszych tez: wolności woli, nieśmiertelności duszy, istnienia boga; nigdy wszakże nie umiała ona ani określić intuicji, jako władzy samej w sobie, ani też wskazać jej stanowiska i roli w stosunku do innych władz duchowych, zwłaszcza zaś w stosunku do umysłu. Mniemano, że intuicja należy do tego samego porządku, co umysł. Bergson dopiero wykazał zasadniczą dwu tych władz różnicę, pojął on, że, jeśli znaleźć chcemy inny typ poznania, poza typem umysłowym, typ poznawania od wewnątrz, nie zaś od strony zewnętrznej, jeśli, słowem, poznawać chce-

[1]) Str. 39, przekład K. Bleszyńskiego.

[2]) Tamże.

my rzeczy nie zaś stosunki, to pójść musimy za wskazówką instynktu. Stąd wysnul on wniosek, mogący się napozór wydać niewiarogodnym: człowiek zdolny jest do poznania intuicyjnego o tyle, o ile, rozwijając w sobie umysł, nie zatracił — instynktu.

W instynkcie, istotnie, tkwią zadatki daleko sięgającej wiedzy. Aby się o tym przekonać, wystarcza rozpatrzeć najprostszy odruch, najpospolitszy przejaw instynktu. Bergson dla przykładu przytacza ich kilka, a między nimi słynny już dzisiaj okaz wiedzy, zawartej w instynkcie pewnego gatunku skarabeusza, który zresztą już dawniej był osobliwością zoologji. Wiedza tego drobnego owada w rzeczy samej budzi podziw swą rozległością. Składa on z nieomylną pewnością, jajeczka u wstępu galerji podziemnych, drążonych w glebie przez pewien rodzaj pszczół. Gąsienica skarabeusza, po długim oczekiwaniu, korzysta wreszcie z chwili, gdy samiec pszczeli wychodzi z podziemnej siedziby, czepia się go natenczas i wraz z nim wzbija się na powietrze; samiec odbywa „lot ślubny", podczas którego łączy się z samicą; dla skarabeusza jest to sposobność, aby puściwszy samca, chwycić się samicy. Przyczepiony do niej, czeka już spokojnie, aby jęła znosić jajeczka; w pewnej chwili, zoczywszy jajeczko, rzuca się na nie i, niby w łodzi, pływa w jego skorupce na powierzchni miodu, pożarłszy uprzednio jej zawartość. Tam też, w ciągu dni kilku przebywa pierwszą swą metamorfozę. Ukształcony dzięki tej ostatniej do pływania po miodzie, karmi się jego patoką i powoli zmienia się w poczwarkę, w następstwie przedzierzga się w owad już dojrzały.

Czyż nie zdumiewająca to kolej wypadków? Przędza ich rozwija się z jednolitego wątka z niezachwianą ścisłością snując się jakoby na mocy wewnętrznego jasnowidzenia.

Wypadki te następują po sobie tak, jakoby maleńki ów owad, zaraz po wykluciu się z jajka, wiedział, że w pewnej chwili trutnie wylatują z ula, że akt zapładniania pozwoli mu przenieść się na samicę, że taż wraz z nim wróci do ula napełnionego miodem, który stanie się dlań karmą aż do chwili ostatecznego wykształcenia, przedtym zaś karmić się będzie jajkiem, które jednocześnie poczwarkę jego uchroni od zatonięcia w miodzie. I zarazem wypadki owe zdają się wskazywać, że skarabeusz wie o tym, iż gąsiennica jego kolejność owych wypadków zna i pamięta. Czynności, z którymi tutaj mamy do czynienia, są odruchowe, płyną z instynktu: lecz jakże wielki obszar poznania jest w nich zawarty! Poznanie to wszakże jest samo dla siebie nieme: uzewnętrznia się w czynach, związanych z pewnym miejscem i czasem, miast na wewnątrz ujmować samo siebie w świadomości. Wszelako, nie ulega wątpliwości, że zachowanie się owada odbija w sobie układ pewnych określonych rzeczy, istniejących lub dokonywających się w oznaczonych punktach czasu i przestrzeni, że owad ten układ zna doskonale, jakkolwiek nigdy się go nie uczył.

W ten sposób, przekonywamy się wraz z Bergsonem, że gdy umysłowi naszemu wrodzona jest tylko wiedza form oraz stosunków, instynkt, tymczasem, i oparta na nim intuicja, przedstawia typ wrodzonej wiedzy — pewnych rzeczy, pewnych przedmiotów. Umysł zna to jedynie, do czego dotknąć się może zmysłami, i zna tylko od zewnątrz; natomiast, instynkt poznaje na odległość i drogą wewnętrzną. Tego rodzaju poznawanie, leży, oczywiście, poza obrębem umysłu; ale — czy poza granicami ducha ludzkiego?

Miast prostej odpowiedzi na pytanie powyższe, Bergson, wierny swej metodzie, drogą porównań i przenośni naprowadza nas na właściwy sposób rozwiązania zagadnienia. Przypomina on w tym celu doświadczenie, w naszym życiu wewnętrznym bardzo pospolite: na każdym kroku — mówi on — doznaje każdy z nas mnóstwa odruchów przyjaźni lub niechęci, odruchów mimowolnych i niewyrozumowanych. Gdyby nas zapytano o ich przyczynę, nie umielibyśmy jej wytłomaczyć. Źródło owych popędów jest dla nas niezrozumiałe. Otóż, zestawmy nasze tego rodzaju popędy z tym, co zachodzi w świadomości owada działającego przez instynkt: czy nie znajdziemy między obu rodzajami zjawisk pewnych analogji, pewnych rzeczy wspólnych? Wyobraźmy sobie, że między skarabeuszem a pszczołą istnieje pewien związek współczucia (w znaczeniu etymologicznym słowa), pewna wzajemność czucia, które drogą wewnętrzną jakoby powiadamia gąsienicę i poczwarkę pasorzytującego owada o jadalności, dajmy na to, jajeczka pszczelego, w którym pasorzyt ów obiera sobie siedzibę. Owo poczucie jadalności może bynajmniej nie wynikać z postrzeżenia zewnętrznego, a powstawać jedynie wskutek wzajemnego zbliżenia się owada i pszczelego jajeczka. Podobnie wskutek zbliżenia się wzajemnego trutnia pszczelego z gąsienicą skarabeusza, powstaje w tej ostatniej popęd ku uchwyceniu się jego ciała, poczucie lotności owego trutnia, dążącego, aby połączyć się z samicą. Oba te owady, związane ze sobą wzajemnością instynktu, rozważać należy, w tym wypadku, już nie jako dwa organizmy, lecz poprostu jako dwa ośrodki działalności: instynkt wyrażać będzie wówczas wzajemny ich względem siebie stosunek, w danym wypadku konkretnym. Taki sam stosunek łączy w każdym żywym ustroju miljony komórek współpracujących ze sobą dla wspólnego celu. Komórki organiczne także względem siebie stanowią połączone solidarnością środki działania: dzielą one między sobą pracę, rozmnażają się, ochraniają się nawzajem, tworzą obronę przeciwko niebezpieczeństwom zewnętrznym, słowem, każda żyjąc dla siebie sama, jednocześnie żyje i pracuje dla wszystkich innych, dla całego zespołu. Jestże harmonja owa, wiążąca wszystkie komórki w zespół organizmu, wykwitem instynktu czy też wykwitem sił elementarnych życia które organizuje materję? Rzecz oczywista, że instynkt zlewa się tu z pracą organizacji. Nie jedyny to wypadek, w którym niepodobna jest wskazać granicy między instynktem a organizacją: instynkt jest jakby dalszym ciągiem pracy organizacyjnej życia.

Gdy mówimy o działalności zwierząt, wyrażamy się: instynkt; gdy mówimy o działalności komórek używamy wyrazu: własność. W obu atoli wypadkach, pod obu wyrazami, ukrywa się ta sama istota. W obu wypadkach mamy do czynienia z tymi samymi przejawami jasnowidztwa obu równoległych przejawów ślepoty. Istotnie, rzeczy mają się tak, jakoby każda komórka wiedziała o innych komórkach to, co dla jej bytu i rozwoju potrzebne; każdy owad wiedział o innych owadach to, co dla własnych celów może spożytkować; cała zaś reszta zda się być przed nimi pogrążona w mroku. Przy jasnowidztwie w pewnym kierunku towarzyszy im ślepota we wszelkich innych kierunkach. Owo jasnowidztwo

sięga w kierunku interesów, korzyści, zysków organizmu czy też komórki; wszystkie zaś kierunki wiedzy bezinteresownej są osłonięte mrokiem.

Czy uległy one zaniedbaniu? Czy instynkt ongi miał oczy otwarte na całokształt życia, nie ograniczając się do ścieżek samozachowania i rozrodu, po których krąży obecnie?

Bergson sądzi, że tak. Wszystko, zdaniem jego zdaje się wskazywać na to, że poszczególne gatunki, wyodrębniając się z powszechnej fali życia traciły styczność z jego resztą, po za kilkoma jedynie punktami, których utrzymanie nadal leżało w interesie nowopowstającego gatunku. Życie postępuje tu w ten sam sposób, co świadomość wogóle, w ten sam sposób, co pamięć nasza. Człowiek, niepostrzeżenie dla siebie, wlecze za sobą cały ciężar swej przeszłości, pamięć atoli wsącza każdorazowo do chwili obecnej zaledwie dwa lub trzy wspomnienia, uzupełniające, w taki lub inny sposób, nasz stan teraźniejszy. Wiedza przeto instynktowa, którą pewien gatunek posiada o innym gatunku na punkcie jakiejś między nimi styczności albo skrzyżowania się wzajemnego, tkwi korzeniem w podstawowej jedni życia, które nazwać możnaby, wzorem dawnego filozofa, całością solidarną, samą — względem siebie.

Instynkt tedy jest, w przeciwieństwie do umysłu, tą władzą duchową, która ukształtowała się i rozwinęła w ścisłym związku ze sprawami życia. Jak dziedziną umysłu jest materja martwa, tak dziedziną instynktu — życie. Gdy jednak światła umysłu przyrównać można do płonącej pochodni, jasno promieniejącej dokoła, niestety instynkt zaledwie tleje, nakształt stłumionej iskry. Gdybyż obudzić można świadomość, która drzemie w instynkcie, gdyby ją rozniecić w płomień o pełnym blasku! Obecnie świadomość ta daje znać o sobie jedynie w czynnościach odruchowych, drogi jej tedy wszystkie skierowane są wylotem nazewnątrz: gdybyż można odwrócić ją w głąb, ku stronie wewnętrznej i rozpłomienić w ognisko poznania! Gdybyśmy znaleźli sposób na postawiernie jej pytań i gdyby ona odpowiadać mogła, niezawodnie zwierzyłaby nam najgłębsze tajemnice życia, albowiem wszystkie tajemnice owe posiada. Gdybyż udało się wyzwolić instynkt z ciasnego i ślepego oportunizmu, w którym zamykają go elementarne potrzeby organizmu, gdyby przywrócić mu utraconą spójnię z całokształtem życia, nadać tę samą bezinteresowność, którą wykształcił w sobie umysł, słowem, gdyby instynkt odpowiednio oczyszczony i rozszerzony przeistoczył się intuicję, wówczas człowiek, intuicją taką obdarzony, ujmowałby od wewnątrz całość życia poza sobą z tą samą bezpośredniością, z jaką dziś ujmuje on własną jaźń.

Filozofja Bergsona, która często zbacza ku granicom poezyi, tym razem kroczy po samej granicy. Stopami dotyka jeszcze ścisłego gruntu nauki, ale oczyma już błądzi po kraju poezyi, snując cudowne dla ducha ludzkiego możliwości.

Na drogach intuicji, mocą rozświetlonego instynktu, zdaniem Bergsona, znalazłyby rozwiązanie najdonioślejsze zagadnienia filozofji. Zagadnień tych, atoli, instynkt, sam pozostawiony sobie, nie podejmie nigdy. Podejmuje je i od wieków pracuje nad ich rozwiązaniem umysł, ale umysł nie posiada środków, aby je rozwiązać.

Czy nie należałoby, wobec tego zorganizować ścisłej współpracy instynktu z umysłem, jako jedynej prawdziwie płodnej, odkrywczej metody poznania rzeczywistego, metody któraby człowieka stawiła twarzą w twarz z rzeczywistością, usuwając wszelkie między nimi zasłony?

Jednakowoż, współpraca ta, aczkolwiek pożądana, — zapytać musimy, — czy jest możliwa, i w jakich możliwa granicach?

W. Rzymowski.

POD ŚWIATŁO.

№ 9.

Motto... *Cuchnące mieszczańskie kołtuństwo w „Moralności pani Dulskiej" święci wybitny tryumf i bawi przepełniającą widownię publiczności.*

(Teatralna wzmianka w którymkolwiek z dzienników).

Co wieczór tłumy śmieją z „moralności" pani Dulskiej.

Tłumy Dulskich.

W istocie rzeczy bowiem pani Dulska jest tylko karykaturą tych cnót i stosunków małomieszczańskich, które w mniejszym lub większym stopniu stanowią duszę dzisiejszego burżuazyjnego społeczeństwa.

Każda przeciętna matrona spółczesna w podobnych warunkach, może w sposób mniej śmieszny i jaskrawy, myśleć i działać będzie tak samo, jak bohaterka p. Zapolskiej.

W teatrze wszakże śmieje się sama ze siebie.

Fakt na pozór drobny ma jednak głębsze znaczenie.

Kilkadziesiąt lat temu ci sami Dulscy byli bohaterami sztuk Ohneta, i Sardou'a i wyobrażali dodatnią siłę społeczną.

Dziś napróżno szukalibyśmy na scenie bohatera — mieszczanina, tych dzielnych inżynierów, rolników, przemysłowców, około których przed kilkudziesięciu laty obracał się dramat ówczesny. Mieszczaństwo występuje dziś na scenie przeważnie jako przedmiot drwin i szyderstwa.

Z tej strony pokazują nam je Zapolska, Jaroszyński, Perzyński, Kiedrzynski i wszyscy prawie współcześni autorowie polscy.

A jednak my żyjemy w epoce rozkwitu i potęgi burżuazyi!

Cóż znaczy więc, że ona pozwala tak się znieważać, tak drwić ze swoich cnót, tak poniewierać swe zasady?

Co znaczy, że ona oklaskuje swoją własną karykaturę?

Jest to zjawisko znamienne, a świadczy ono, że mieszczaństwo straciło poczucie swej godności, męzkość swego charakteru.

W dziele „Les systèmes socialistes" jednego z najgłębszych socjologów spółczesnych Vilfreda Pareto znajduje się szereg uwag stanowiących bardzo aktualne wyjaśnienie wybuchów śmiechu, któremi Dulscy co wieczór napełniają teatr, szydząc ze swego własnego „kołtuństwa".

Wśród rozrywek ludzi lub warstw społecznych w okresach upadku, jeno z pierwszych miejsc," wzdług Pareto, zajmuje „zadowolenie z upadlania i poniżania samego siebie, z ośmieszania warstwy, do której się należy, z urągania temu, co jeszcze niedawno uważano za godne szacunku".

Dzieje się tak zawsze.

Wyższe klasy w końcu XVIII-ego wieku śmiały się z szyderstw Beaumarchais'go, obecnie w niektórych krajach widzi się burżuazję obsypującą złotem autorów, którzy w teatrze codziennie mówią jej impertynencje którzy plugawią wszystko, co stanowi siłę burżuazyjnego społeczeństwa.

„Mieszczaństwo ulega przewrotnemu zadowoleniu (la jouissance perverse) z widoku poniewierki tego, co się dotychczas szanowało, z chwiania się podstaw porządku społecznego".

Czy te uwagi profesora z Lozanny nie robią wrażenia, jakby były napisanie po przedstawieniu „Moralności pani Dulskiej?"

Budnik.

KRYTYKA.

Wystawa minjatur.

Urządzona przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości.

Stare miasto — to jedyne dziś miejsce, gdzie pragnący ujrzeć sentyment czy charakter Warszawy może czujnem uchem posłyszeć jakieś drgające jeszcze nuty poezyi. Nie pokryły ich warstwą niechęci ani brudne stragany pod szarym rzędem dachów, ani grupy ludzi pijących u narożnych szynków, ani rój obdartych dzieciaków i kobiet, siedzących u wnęk sklepowych. Od gzemsu czworoboku, od górnych ozdób i od przykucniętych pierzchliwie u starych bram wspomnień, bije czar jakiś idzie od zapomnianych zakątków wielkich miast, od tych jedynych ruin — fragmentów, tworzących miast tych ducha przeszłości.

Na starym Rynku, w pięknie odrestaurowanym domu Baryczków, będącym dziś siedzibą T-wa Opieki N. Z. P., urządzono wystawę minjatur i ikanin. Pyszną klatkę schodową, tak suto rzeźbioną, iż do pałacu nadać by się mogła, udekorowano dywanami i gobelinami, jasne komnaty o belkowanych pułapach ubrano we wzorzyste hafty i barwne makaty, w słuckie pasy lite. w błyszczące srebrem i złotem stare ornaty. A na ścianach w drobnych szafkach umieszczono minjatury — i o nich słów kilka powiedzieć pragnę.

Minjatura nie stanowiła poważnej odrębnej gałęzi sztuki. Była w początkach swojego istnienia poniekąd równoważnikiem dzisiejszej fotografji, wytworną ozdobą medaljonową. upominkiem. Rozwój jej wzrastał z rozwojem mody. Nie stworzyła epoki, i nie stała się współzawodniczką portretu ani też nie wydała mistrzów sztuki, — jeno kilku doskonałych specjalistów. Cyzelowała drobnostki miłe, często nęcące, lecz rzadko ogarniające nas swym powabem, rzadko dające wrażenia jakie nam narzuca dzieło istotnej sztuki.

Lubimy minjatury dla pewnej finezji ich formy, dla barw łagodnych, kobiecych, tchnących zapachem perfum i buduarów. Są one raczej rozrywką dla oka niż źródłem wzruszeń.

Znane pod różnemi formami już w starożytnności powstały w tej formie, w jakiej je dziś widzimy, z owych najcenniejszych zabytków starochrześcijańskiej sztuki — z iluminacji ksiąg dawnych. Podówczas nazywano minjaturami pierwsze litery każdej stronicy, pisane czerwoną minją — następnie zaś same iluminacje. Minjaturzystą w tem znaczeniu był mistrz Jan Fouquet (1415—1480). Z czasem w ornament iluminacji poczęto wplatać podobizny ludzkie, a w wieku XVI zamieniają je istotne portrety. Oderwany przypadkowo od iluminacji wizerunek dał początek małym portrecikom, dzisiejszym minjaturom. Malowano je zrazu techniką nader różnorodną: olejno na drzewie, na miedzi, na srebrnej i złotej blasze, gwaszem na pergaminie, temperą na szyldkrecie i t. d. [1]) O technice Clouet'ów, naprzykład pisze Bouchot: „Ils ignoraient les tablettes d'ivoir, ils se servaient de parchemin lainé trés fin, lavé de fiel de carpe" i t. d.

Posługiwali się więc pergaminem zmywanym żółcią karpia „pour éviter le graissage". Dopiero w XVIII wieku zastosowano na nowo kość słoniową, której przezroczystość zbogaciła efekty barwne. Mówię na nowo, gdyż, jak opowiada Ernst Lemberger według Pliniusza, na kości słoniowej w 50 roku do N. Ch. malowała już Laja z Cyziku.

W XVI też wieku powstają pierwsi minjaturzyści.—Nie przeszli wprawdzie do historji ani flamandczyk Teerlinck, ani francuz Jean Rabel— z pośród tych najpierwszych historja zna mistrza niemieckiego Lucasa Cranacha.

Pierwsze wybitne minjatury dali we Francji Jan i Franciszek Clouetowie, w Niemczech Hans Holbein młodszy, w Anglji — naśladowca Holbeina Nicholas Hilliard.

Clouet'owie i Holbein, wielcy swą ogólną twórczością, nie oddawali się specjalnie minjaturze, jak to czynił Hilliard. Nie doścignął on mistrza, a jednak jego portret królowej Elżbiety jest wykonany z niezrównaną subtelnością w dekoracji i pewnym czysto niemieckim realizmem, tak sprzecznym z późniejszym pojęciem minjatury. — Po śmierci pierwszych mistrzów minjatura poczęła upadać.

(d. n.) *Mieczysław Sterling.*

Próba nowego teatru.

(Dokończenie).

Usiłowania Niemców w tym kierunku godne są najwyższej uwagi. Już przed ćwierć wiekiem budowniczy Otto March tworzy projekt teatru w kształcie koła, z amfiteatralnie wznoszącemi się rzędami miejsc dla widzów, ze sceną o dwóch częściach: tylnej, zamkniętej z trzech stron, i przedniej, w kształcie półkola, całkowicie otwartej od strony silnie wrzynającej się w widownię peryferji. — z estradą dla chóru śpiewaczego naprzeciw sceny, po drugiej stronie teatru, w górze, za miejscami dla widzów. Projekt ten, na ośm tysięcy widzów pomyślany, miał cel wyraźny: stworzyć teatr, któryby, według słów Ryszarda Wagnera, „tak odpowiadał kulturze współczesności, jak odpowiadał greckiej religji — teatr antyczny", — któryby, „odrzuciwszy z greckiego teatru to wszystko, co w nim jest heleńskie, a nie ogólnoludzkie", umiał narzucić z nieodpartą mocą sytej, mieszczańskiej zaśniedziałości no-

[1]) Różnorodność techniki czytelnik łatwo pozna już w pierwszej gablotce na wystawie.

we horyzonty i oddechy współczesnej myśli i uczucia; teatr, o którym mówił Goethe: „oto poezja, malarstwo, śpiew, muzyka, sztuka aktorska — i czego zresztą tu niema! Jeśli wszystkie te sztuki połączyć w współdziałaniu z powabami młodości i piękności, powstaje święto, z niczem porównać się niedające": teatr ludowy w tym znaczeniu, że możliwie największa liczba widzów wziąć w nim udział może, — teatr — miejsce kultu, miasto zapału, przekuwającego rudę serc ludzkich pod rytm nieskończoności w drogocenny kruszec bohaterstwa i dumy. Lecz teatru podług projektu March'a nie wybudowano dotychczas w Niemczech. Niema tam wogóle dotąd ani jednego teatru o nowym typie, jakkolwiek projekty nowej sceny pomnażają się z dnia na dzień. Wspomnę tu o śmiałym projekcie monachijczyka Augusta Zeh'a, który w zajmujący sposób łączy ideę amfiteatru z ideą parkietu w wielkim, dla 5 tysięcy widzów przeznaczonym teatrze. Wspomnę o wykwitłych z ziarn meiningeńskich usiłowaniach Reinhardta, który ucieka z ciasnych ram współczesnego teatru i na arenie cyrkowej szuka terenu dla swej pomysłowości inscenizacyjnej, dla obliczonego w każdym posunięciu ruchu tłumu, dla szerokiego twórczego gestu i ruchu poszczególnych aktorów. Wspomnę o udanych próbach zastąpienia kombinacjami oświetlenia — kurtyny, która, stopniowo ukazując czy zasłaniając scenę, wnosi komizm lub niewłaściwość nastroju: przy podnoszeniu kurtyny np. widzimy naprzód nogi aktorów, zanim zobaczymy głowy; przy wprowadzonej niedawno inowacji — kurtynie rozsuwanej — oglądamy na początku aktu pierwej drugorzędną grupę aktorów, umieszczoną w pośrodku sceny, niż bohatera, lub główną grupę, stojącą w bocznych kulisach; podobnież przy końcu aktu: uwagę naszą skoncentrowała gra aktorów, stojących w kulisie bocznej; kurtynę zasuwają, grupę tracimy z przed oczu, natomiast widzimy przez chwilę jeszcze dekorację środka sceny, która rozrywa moment naszego wrażenia. Reforma polega na tem, że dopiero po podniesieniu kurtyny scenę oświetlają raptownie, czy stopniowo, stosownie do potrzeby; również przy zakończeniu aktu: światła na scenie gasną nagle, czy częściowo — i, przy scenie zaciemnionej zupełnie, kurtyna spada. Wspomnę jeszcze o wynalazku reżysera Wiljama Wauera, pomyśle ruchomej ściany, umieszczonej między widownią a frontem sceny, w miejscu, gdzie przywykliśmy widzieć budkę suflera; składa się ta ściana z łatwo dających się przestawiać ram i słupów, tak, że można, przy jej pomocy, podzielić scenę na dwie, lub więcej, części. Tak, naprzykład, dekoracja, przedstawiająca willę, dom, czy coś podobnego, umieszczona na 2-ch słupach ściany, zakrywa środek sceny, dzieląc ją na dwie części; części te mogą przedstawiać ulicę, rynek, ogród, wreszcie wnętrza i t. p., przy doskonałych efektach perspektywicznych. Wspomnę w końcu o niefortunnym zresztą projekcie „teatru natury" na wzór teatrzyków z epoki rokoka, niefortunnym raz dlatego, że słowo aktora ginęłoby w otwartej na działanie atmosfery widowni, a także z powodu, że teatr taki obrażałby fundamentalne prawo teatru: *zamkniętej całości*, warunkującej koncentrację wrażenia, i podzielonej na jaśń sceny i ciemnię widowni *jedności*, sprzyjającej tak wybitnie podniesieniu iluzji scenicznej do godności przeżywanej prawdy.

Oto mniej więcej obraz usiłowań w dziedzinie reformy budownictwa teatralnego. Lecz sprawa stoi w miejscu. Bowiem, jak już nadmieniłem: ani jeden teatr nowego typu nie powstał dotąd. Przyczyna tłumaczy się jasno: z usiłowaniami reformy budownictwa teatralnego i inscenizacji nie idą w parze usiłowania w kierunku znalezienia nowych dróg — dla twórczości dramatycznej. Owszem: od czasów Ibsena twórczość ta dąży w kierunku jaknajwiększej subtelizacji djalogu — i szuka, dla swego naturalizmu cieplarnianego, ram teatralnych odpowiednio drobnych: teatr tegoż Reinhardta „Kammerspiele", mieszczący 300 widzów, za wzór posłużyć tu może. W powietrzu jednak wyczuwać się daje nastrój oczekiwania: ci, co reformują budownictwo, oraz ci, co reformują reżyserję, czekają jakby na znak tajemny, na dobrą nowinę: na nowy styl poezji dramatycznej. Spróbujmy tedy projekt rzucić następujący.

Jak powiedziałem wyżej: gleba podatna pod kłosy nowego stylu poetyki dramatycznej — to dramaty t. zw. „książkowe". Ramą odpowiednią dla nich byłaby budowla teatralna o omówionym tu typie teatru Otto March'a, lecz z tą zmianą, że scena główna (wraz z proscenium) miałaby po obu stronach dwie sceny mniejsze, płytsze, oddzielone, których linje frontowe tworzyłyby z linją frontową sceny głównej kąty rozwarte. Męcząco długi szereg obrazów takiego dramatu można by rozbić na kilka części i każdą część rzucić przed oczy widza *pod postacią trzech obrazów na trzech scenach, granych jednocześnie, lecz tak, aby nad temi obrazami spoczywała troska o całość linji, o konieczność współistnienia tych trzech, niewiedzących o sobie, jednoczesnych działań dramatu*. Spróbujmy wyrazić to na przykładzie. Na głównej scenie, środkowej, para kochanków; na jednej z bocznych scen — rywal, knujący zemstę; na drugiej bocznej scenie — para małżeńska starców, kontrastowe rzucająca refleksje do słów kochanków. Oto *trzy oddzielne, przy różnych dekoracjach, akcje dramatu, dokonywujące się w jednym czasie, niewiedzące o sobie, a powiązane ogólną linją konieczności dramatycznej*. W djalog aktorów sceny głównej wpadają raz po raz (oczywiście w interwalach tego djalogu) słowa ze scen lewej i prawej, niby światłocień dopełniający; kombinacja podobna, co w symfonji, gdzie główny motyw melodji prowadzącej dopełniany jest przez głosy dodatkowe. Inny przykład. W „Edypie", wystawionym przez Reinhardta w cyrku, scena oślepienia się przez Edypa ginie za kulisami; nie widzimy kurczowych ruchów, nie widzimy przerażającej gry twarzy Edypa; tylko jęki słyszymy. W teatrze projektowanym rzecz cała rozgrywałaby się przed oczami widza na jednej ze scen, podczas gdy dziki popłoch szalonego w przerażeniu tłumu widzielibyśmy na wielkiej scenie głównej i drugiej bocznej. A potem przez cały imponujący obszar sceny głównej nadziemsko świetlany, przygniatający ogromem obraz: ślepy Edyp, dobrowolnie idący na wygnanie...

A oto wizja taka: na bocznej scenie gwar, wesele, tężyzna; w pośrodku, na scenie głównej, noc, zawieja w ulicy miejskiej; na drugiej bocznej scenie w nędznej izbie śmierć czai się w schorowanych ciałach; z posłania zwlókł się dogorywający nędzarz; słania się w groźnym mroku ulicy; dowlókł się do sali weselnej, wchodzi.

Te bezpretensjonalne, pierwsze lepsze w wyobraźni powstałe obrazy nie mogą dać oczywiście jasnego pojęcia o cudach wyrazu, jakich dokonać w tych warunkach mogłaby twórczość poety i pomysłowość reżysera. Problem, do któ-

rego wypadnie jeszcze w dłuższym studjum powrócić, wymaga ogromu usiłowań, prób inscenizacyjnych, prób twórczości pisarskiej. Możnaby, na początek rozdzieliwszy tylko scenę przy pomocy wynalazku Wauera, spróbować tragedji greckich, spróbować Szekspira, Goethego „Fausta“, Schillera „Wallensteina“, „Dziady“.. Możnaby usiłować, szukać, dokonywać. Ale nie u nas, nie u nas! U nas wzruszą ramionami, lub śmiać się będą!

Mieczysław F.-Ziębowski.

Wrażenia i refleksy.

Bronisława Włodkówna: **Orlińscy.** Historja ludzi szalo- [illegible]

Historja rodziny Orlińskich, której gwiazdą jest artysta-muzyk Paweł. Około tego Pawła wszystko się kręci. Jego artyzm i wyjątkowość znęca historyczną Wandę, która raz odtrącona, rzuca mu się na szyję powtórnie, ma z nim dziecko, potym go nienawidzi, potym szlachetnieje, darowuje mu winę i ostatecznie znajduje swój ideał w młodym rewolucjoniście rosyjskim Andrzeju Zakliczynie z Kazania. Z tym wyjeżdża do Rosji na dolę i niedolę. Druga kobieta — Toninka kocha Pawła, jego wyjątkową duszę i artyzm. Nie rzuca mu się na szyję z takim impetem jak Wanda, ale i ona gotowa wygodzić tak niezwykłemu człowiekowi. „Jeśliby kiedy, Pawle, było ci ciężko, to pamiętaj, że ja zawsze...“ Trzecia kobieta, Ilza hrabina Waroczy, zachwycona cudowną grą Pawła, przychodzi do artysty ze słowami: „Ja nie jestem artystką czynu i nie mogę uszczęśliwić ludzkości przejawami piękna, ale mam ciało piękne, jak najpiękniejsze dzieło sztuki, i nim mogę dawać szczęście rozkoszy...“ A nieco dalej „Pan z rozkoszy mego ciała umiałby czerpać natchnienie do tworzenia rzeczy cudownie pięknych, i dlatego ja panu oddaję moje ciało...“ Tak to wśród uwielbienia i ofiarności żyje Paweł, chłonąc rozkosz zarówno z pocałunku wysokiej kultury hr. Ilzy, jak z gotowej do wszystkiego niewinności Toninki, aż wreszcie ginie przypadkowo.

Powieść napisana z wielką wprawą i umiarkowaniem. Wszystkie ideały szlachetne, jakie być mogą, autorka połknęła niegdyś jak misę klusek, teraz przyświecają jej one. W jej kobietach — czuła gąbczasta tkliwość, gotowość do łagodzenia, gotowania rumianków, kataplazmowania łączy się z gąskowatym pietyzmem dla sztuki. Nie cofają się one nawet przed złożeniem swego ciała i niewinności na łożu wybrańca niebios. Nastrój w powieści pogodno-uprzejmy, banalno-podniosły.

Właśnie ta letnia temperatura utworu, nie gorąca ani lodowata, lecz letnia i zalatująca poczciwym kminkiem i lukrecją, obok — co trzeba przyznać — pewnej zwięzłości i jędrności wysłowienia — sprawia, że „Orlińscy“ są ani tym ani owym. Mogłyby być, naprzykład, przy żarliwym ujęciu rodzajem namiętnego albo żałosnego oskarżenia przeciw kobietom za ich pokorę i niewolnictwo. Albo rodzajem czerwonej filipiki przeciw naturze, co stwarza takie cudowne potwory, chłonące i siejące spustoszenia jak artysta Paweł. Albo — wręcz odmiennie — mogłaby być ta powieść właśnie uwielbieniem bluszczowości i ofiarności kobiecej lub odkryciem, ile fałszu kryje się w takich ofiarach świątobliwych, ile próżności, dumy, potrzeby błyszczenia cudzym światłem, tęsknoty do potęgi. Słowem, autorce, gdy pisała „Orlińskich“ zabrakło między innymi namiętności i dlatego właśnie jej powieść jest tak płasko-poczciwa, tak szlachetnie nudna, zewnętrznie przyzwoita i szeroko-do- [illegible]

Jan Powalski: **W słońcu. Powieść.**

Pierwsza zdaje się próba utworu narracyjnego tego autora, zakreślona na większą skalę. Szereg kolejno w czasie według pór roku następujących opowiadań związanych osób tożsamością i jednością miejsca, tworzy „powieść“ p. J. Powalskiego. „W słońcu“, jako kategoryczny typ utworu z zakresu beletrystyki przedstawia się dość niejasno, nawet mętnie: o .cyluje on między t. zw. „opowiadaniami dla młodzieży“ tak z racji swych młodocianych bohaterów jak i pedagogiczności pewnych, a między opowiadaniem z przewagą elementu opisowego. Ten to element głównie, o ile nie jedynie, dobrze świadczy o autorze; wyczuciem i ukochaniem natury tchnące krajobrazy stanowią najlepsze stronice w książce. Jest przytym w wiązadłach konstrukcyjnych utworu pewna miła niedomówienia miękość. Te są dodatnie walory p. J. Powalskiego jako autora. Reszta przedstawia [illegible]

[illegible]

W Lublinie nakładem drukarni „Estetycznej“ R. Jaczewskiej wydano jednodniówkę, której treść przedstawia się bardzo interesująco. Składa się na nią: „Dziś i Jutro“... — przez Kazimierza Świerczewskiego; ciekawe studjum krytyczne o utworze Wyspiańskiego p. t. „Powrót Odysa“ przez redaktora *Kurjera* lubelskiego M. Biernackiego; impresja p. t. „Grabiec i Goplana“ przez M.; przekład z Heinego p. t. „Rycerz Olaf“ przez St. S., „Na Kapitolu“ przez K. Br...; bardzo trafnie motywowana notata historyczna p. t. „Napoleon a sprawa polska“ przez Z.; dwie nowelki „Burza“ przez St. S. i „Wesele“ przez Krystynę Chełmicką-Iwańską; „W królewskim parku“ przez Kazimierza Świerczewskiego; „Nadzieje i troski“, rzecz o przyszłych drogach sztuki z punktu socjalnego przez B. Mandelbauma; liryki „Cyganiętom“ i „Poco mnie budzisz wiosno“ przez Adama Nowińskiego „Evviva l'arte“ przez Mieczysława Jabłońskiego, „List“ przez St. S. „Z cyklu: Dusza“ przez K. Świerczewskiego, „Z cyklu: Odloty“ przez F. Arnsztajnową i aforyzmy, myśli, refleksje przez M. B., F. Arnsztajnową. Tym znamienniejsze są dodatnie walory „Jednodniówki“, iż powstała ona literackimi siłami tylko Lublina. Wydanie w dużym formacie starannie i wytworne

Otto.

Z PRASY.

Z prasy polskiej

*** Dziewiętnasty rok mija od czasu, gdy po Polsce głuche zaczęły chodzić wieści, jakoby w starych murach Rapperswilu naszą siłę i żywotność reprezentowały falsyfikaty i że żywy świat pamiątek narodowych został wydany na pastwę ignoranta, typowego szlachcica — barbarzyńcy, protegowanego Rady Muzealnej. Alarmował Radę pułkownik Jeż; już w roku 1895, Henryk Bukowski, stawiając kustoszowi ś.p. Rużyckiemu de Rosenwert 37 zarzutów: zepsucie maszyny do rachowania Baranowskiego, podawanie za orginały na miejscu wyrobionych „siodeł Kościuszki“, „lasek Wincentego Pola“, „pasów po Bartoszu Głowackim“, — fałszowania napisów objaśniających przedmioty, i. t. p. — mawiał, a nawet pisywał w swoich memorjałach: że „Muzeum stało się składem fabrykatów, niby sklepik niemieckiego tandeciarza“.

Gdy jednak w roku zeszłym z publicznym oskarżeniem wystąpili, poparci przez fachowca, d-ra Koperę, Stanisław Szpotański i Stefan Żeromski, trzeba było uglaskać zaniepokojoną opinję publiczną. Więc dyrektor Gałęzowski, zaprosił do Rapperswilu aż 18 wybitnych obywateli między innymi Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Władysława Mickiewicza, Aleksandra Jabłonowskiego, a chociaż takich dorywczych oględzin i oceny zbiorów podjęli się z zaproszonych jedynie p. p. Stanisław Libicki, Tadeusz Rutowski i Stanisław Stroński, formalności zadość się stało. Wystarczył jeden rzut trzech par oczu nie kompetnych, aby udowodnić że wszystko jest w porządku, że niczego nie brakuje o jeżeli p. kustosz robił czasami głupstwa to działał w dobrej wierze.

Stało się, co oskarżyciele fatalnej gospodarki przewidywali. Przecież p. Dyrektor Gałęzowski jawnie głosił na owym zjeździe, że kustosz jest jego przyjacielem i bronić go będzie „do śmierci! A przyjaciele naszych przyjaciół...

„Każde twierdzenie p. Rużyckiego de Rosenwert — pisał później Żeromski w swej broszurze „p. t. „O przyszłości Rapperswilu“ — choćby najzupełniej nietylko gołosłowne, lecz urągające wszelkiej prawdzie, było traktowane jako dowód prawdy, jako takie służyło za motyw wyroku. Każde moje twierdzenie, nawet na dowodach i świadectwach oparte było wykręcane i paczone w sposób urągający wszelkiej sprawiedliwości“.

I jakoby dla zilustrowania polskich sądów, i polskiej sprawiedliwości, które obecnie zdobią karty „Uroda Życia“, w obronie cerbera „świętych pamiątek“, trwonicielami dobra narodowego ogłoszono dr. Sokolnickiego i Kłyszewskiego, a z Żeromskiego uczyniono intryganta, mszczącego się za jakieś przykrości eks - bibljotekarza, który na domiar wszystkiego przywłaszczył sobie pomysły Henryka Bukowskiego i. Rosenwerta (Projekt założenia pokojów Mickiewicza i Przyjaciół Polski!)

Losy przyjacielską ręką p. Gałęzowskiego kierowane chciały, by jak o Tellu, mówiono w Polsce o owym strzelcu elzewirów „solang die Berge steh'n auf ihrem Grunde!“:

W przededniu powtórnego zjazdu rapperswilskiego odbyły się w Krakowie staraniem Towarzystwa Przyjaciół Rapperswilu odczyt p. t. „Rapperswil“. Prelegentem był Żeromski; powtórzył wszystkie zarzuty, poświęcone w wyż. wymienionej broszurze raz jeszcze przedstawił fotografje i dowody; odczytał listy Bukowskiego; przypomniał że na tej „piędzi obcej ziemi, skąd duch Polski wzywa świadectwa Boga i świata“ podawnemu rezyduje starzec zdziwaczały, rządząc wszechwładnie „pod protektorem możnych“ założonym przez siebie Pociejowem szaf „gdańskich“ z Pfäfikonu, łyżek królewskich z zurichskich licytacji, mundurów żołnierzy z pod Grochowa dostarczanych przez intendenturę francuską. Autor sprawozdania z odczytu, w *Gońcu* referując t. zw „Sprawę Rapperswilską“ i stan jej obecny, nie myli się pisząc, że nazwa „Rapperswil“ nabiera coraz więcej treści symbolicznej i mocy:

Na naszej ziemi tak ich zamków wiele, wiele takich wrzodów niewoli i niedoli, wiele takich szabel, co mają tylko pochwę i rękojeść, wiele takiego udanego znawstwa, co się panoszy wiedzę prawdziwą mając za nic, i takich sędziów, którzy są chytrzy jak węże, ale nie prości jak gołębie. Słuchając odczytu Żeromskiego, czuło się że nie chodzi tu tylko o tą świątynię pamiątek, ale o coś ważniejszego, bo o nasze życie. Przecież, kiedy ukazano, że tam powiewa sztandar nie polskiej chwały, ale polskiego wstydu, że tam marnieją nasze zabytki, że tam niszczeją nasze zbiory, że tam prawdziwa praca zawsze pobita, ustępować musi przed głupotą, prawość przed intrygą, rozkołysała się cała Polska, zapełniły się wszystkie pisma, a do Rapperswilu, bronić go z Polski podążyli tylko panowie Rutowski, Czołowski, Dwernicki, Sokołowski, mecenas Libicki, mecenas Tarnowski z Przemyśla i profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stanisław Stroński. Obok nich była prasa, którą charakteryzuje choćby to jedno, że telegram Wasilewskiego, redaktora *Słowa Polskiego*, brzmiący „nie widziałem aby kustosz strzelał do elzewirów, gdybym był widział, tobym na to nie pozwolił: kustosz sam mi pokazywał przestrzeloną książkę i chwalił się celnością strzałów“ — podała: „nie widziałem aby kustosz strzelał go elzewirów“.

...A ci co wydrzeć chcą kaduceus błazeński z rąk staruszka cudotwórczy, co nie chcą historji fałszowanej „dla pokrzepienia serc“, odrywają w społeczeństwie rolę Donkichotów, bowiem fałszują... teraźniejszość. Nierządem stoi Polska jak stała; czasami tylko, budzi się i miewa smutne reminiscencje...

*** Okres takich reminiscencji właśnie przeżywamy; pełno ich w *Gazecie Warszawskiej*, *Przeglądzie Narodowym i Słowie*.

Biada *Przegląd Narodowy* nad polskim zacofaniem:

„Społeczeństwo polskie jest może najbardziej zacofane politycznie w całej Europie dzisiejszej. Jesteśmy pod tym względem w tyle nie tylko za narodami zachodnimi ale i za Rosjanami, ba, nawet niżej napewno stoimy od niedawno powołanych do życia narodów na Bałkanach.“

...a *Słowo*, potakując usłużnie przytacza argumenty:

Powstania i spiski nasze, ciągnące się długim szeregiem przez cały wiek ubiegły, sprawiły, że Litwa i Ruś straciły polski charakter, jaki miały przed stu laty, sprawiły, że polska wojskowość zniknęła z powierzchni ziemi, sprawiły, że na całym obszarze zaboru rosyjskiego język polski został z urzędów publicznych wyparty, że powstrzymana została oświata ludu, żeśmy się entopraficznie cof-[illegible]

Gazeta Warszawska również na serjo bierze się do historji:

Historja nas uczy, że zasadnicze zmiany polityczne w położeniu narodów są zależne od dwóch czynników — od ich siły wewnętrznej i od układu stosunków międzynarodowych. W stosunkach międzynarodowych mogą nastąpić zmiany tylko za zgodą sześciu wielkich mocarstw europejskich, które rządzą światem; lub też w następstwie konfliktów między niemi. Do zmian najistotniejszych w sytuacji prawdopolitycznej narodu należy niewątpliwie utworzenie przeze własnej państwowości, o ile jej przedtem nie posiadał.

Zaś my —

wchodzimy w okres walki o ostatnie podstawy naszego narodowego bytu — o ziemię i o ludzi. Walka ta zaś toczyć się będzie już nietylko z temi siłami, które ją prowadzą, lecz równocześnie z siłami społecznemi narodów które pragną na nasz koszt zdobyć sobie szerszą podstawę istnienia i pomnożyć swoje żywe siły.

Biedne, zacofane społeczeństwo polskie, które przez spiski i powstania („Słowo" przypuszcza nawet w jednym miejscu, że wielce do upadku nanaszego przyczynił się. .Kościuszko) doszło do okresu walki ostatniej! Kto winien? Już *Głos Warszawski* na odchodnym w krainę niebytu, wypowiedział się wbrew zwyczajowi swemu bardzo wyraźnie, podrażniony fiaskiem zbawiennych według niego konszachtów neosłowiańskich. „Polityki dzielnej, energicznej, prowadzonej w imieniu niedołężnego politycznie społeczeństwa historja nigdy nie widziała!"

Winne jest zatem poprostu społeczeństwo.

KRONIKA

POLSKI KONGRES PRZECIWALKOHOLICZNY. We Lwowie zakończył obrady kongres przeciwalkoholiczny, nad którym protektorat objęli: rektor wszechnicy lwowskiej prof. dr. Finkel oraz prezydent miasta Lwowa. Posiedzeń kongresu odbyło się no ogół 6. Odczytano na nich referaty prof. dr. Popielskiego, prof. dr. Piltza, dr. Mikulskiego, ks. Ciemniewskiego i w. in.

Omawiano zadanie szkół w walce z alkoholizmem, i stosunek do sprawy alkoholizmu prawodawstwa i administracji. Kongres był niejako obchodem dziesięciolecia lwowskich organizacji abstynenckich. Jednocześnie otwarto we Lwowie pierwszą wystawę przeciwalkoholiczną.

BUNT W WOJSKU. Ogłoszony został komunikat urzędowy o zaburzeni ch w 1 i 2 batalionie turkiestańskim saperów, pod wsią Troickaja w pobliżu Taszkientu. Zbuntowani w liczbie około 130 ostrzeliwali obóz. Porządek przywrócono przy pomocy oddziałów wojsk znajdujących się w pobliżu, a rozbrojonych saperów aresztowano.

Podczas rozruchów zastrzelono sztabs-kapitana Powsinowa i podporucznika Kraszowskiego, ranieni zostali: trzej oficerowie i 12 żołnierzy z których jeden zmarł.

KONGRES ESPERANTYSTÓW W KRAKOWIE. Coraz żywiej zajmuje uwagę ogółu naszego wszechświatowy kongres esperantystów, który w dniach 11—18 sierpnia odbędzie się w Krakowie. Dla starej stolicy Polski i dla całego naszego kraju będzie on miał niemałe znaczenie. Aby znaczenie to zrozumieć, wystarczy powiedzieć, że w kongresie weźmie udział przeszło 2,000 cudzoziemców, reprezentujących kilkadziesiąt różnych narodowości. Ruch esperancki krzewi się przeważnie wśród warstw wykształconych, zatem ci goście stanowić będą niejako elitę swoich społeczeństw. Dzięki zjazdowi będą oni mieli sposobność poznać trochę Polskę, zbliżyć się bezpośrednio do naszej kultury, przekonać się, że chociaż niema nas na politycznej karcie Europy, stanowimy przecież żywą i czynną cząstkę cywilizowanego świata. Bardzo szczęśliwie złożyło się, że kongres tegoroczny jest kongresem jubileuszowym 25-lecia Esperanta, zjazd w Krakowie będzie zatem liczniejszy, niż gdziekolwiek.

SKARB WARSZAWY. Istotnym skarbem Warszawy, tak ubogiej w muzea i zbiory publiczne, jest Książnica Ordynacji hr. Krasińskich. Liczy ona obecnie 72,000 cennych dzieł w stu kilkudziesięciu tysiącach tomów, 700 dyplomów, 7,000 rękopisów, a zbrojownia posiada 762 numery. Zbiory Świdzińskich włączone do Książnicy Krasińskich liczą 21,912 dzieł, 12,492 rycin, 3,000 monet i 246 przedmiotów archeologicznych.

· BADANIA HISTORYCZNE. Archiwum wileńskiego Towarzystwa przyjaciół nauk otrzymało cenne kopje dokumentów historycznych, dotyczących wiekowych zatargów Polski i Litwy z Krzyżakami. Oryginały tych dokumentów znajdują się w archiwum królewieckiem i były kopjowane w pierwszej połowie zeszłego stulecia dla dziejopisa Litwy, Teodora Narbutta, z polecenia prof. Voigta, co ten na każdej kopji podpisem własnoręcznym poświadczał.

Kopje, w liczbie 358, obejmują czas od r. 1382 do 1498 i zawierają, między innemi, listy Wielkich Mistrzów do Jagiełły i Witolda, zażalenie żmudzinów na ucisk krzyżacki, manifest krzyżaków wydany przed wojną w r. 1409, wiersz łaciński współczesny o bitwie Grunwaldzkiej, instrukcję daną przez krzyżaków posłom na sobór konstancyjski, skargi polaków i litwinów przed tymże soborem na krzyżaków, opis bitwy pod Wiłkomierzem, manifest króla Kazimierza przeciwko krzyżakom, zakreślenie granic między Litwą i Prusami i inne.

Dokumenty te ofiarował Towarzystwu p. Teodor Narbutt, wnuk historyka.

ZMARLI. W dniu 8 lipca r. b. zmarł w Siedlcach *Stanisław Sunderland*, adwokat przysięgły, b. reprezentant Podlasia w II Dumie Państwowej. Siedlce zawdzięczają mu inicjatywę założenia Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, Siedleckiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu Macierzy Szkolnej, Towarzystwa Pomocy Szkolnej, i uczelni z językiem wykładowym polskim.

Po pamiętnych wypadkach siedleckich w r. 1906 Sunderland zorganizował komitet pomocy ofiarom, był również autorem interpelacji w sprawie pogromu. Interpelacja ta, ogłoszona w materjałach urzędowych II Dumy z powodu rozwiązania Izby nie przyszła pod obrady *plenum*.

W Krakowie zmarł 17 b. m. *Bronisław Abramowicz*, artysta malarz. Z jego obrazów przeważnie treści historycznej, największe uznanie zdobyły sobie „Karol IX przed nocą św. Bartłomieja", „Ostatnie chwile Zygmunta Starego", „Zygmunt August dyktujący testament". Po wystawieniu „Uczty Wierzynka" Abramowicza mianowano honorowym członkiem stow. Szt. P. w Wiedniu.

OFIARY.

Na „Hygienę Praktyczną im. Bolesława Prusa" od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 25, T. Jabłkowski rb. 15, T. Kobyliński rb. 10, S. Prauss rb. 10, B. Jankowski rb. 10, L. Gorazdowski rb. 10, G. Weker rb 5, J. Rzewnicki rb. 5, S. Klejnsznek rb. 5, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, I. Tomaszewski rb. 3, S. Pijarski rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki 1. 50, R. Świetliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, S. Krotkiewski kop. 75, K. Ebert rb. 3, Hoppen rb. 1, W. Zieliński rb. 1, S. Krawczyński kop. 50, P. Sotkiewicz rb. 1, J. Podolska rb. 1, L. Słojewski rb. 1, S. Krasowski rb. 3, B. Świstowski rb. 1 ogółem rb. 125, kop. 50.

Na wpisy dla szkół polskich p. Wiwatowski rb. 1.

Na Zaranie p. Sarnek z Wiednia kop. 32.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy — CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia — **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk[illegible]

W Warszawie [illegible]

z przesyłką pocztową [illegible]

Za zmianę adresu [illegible]

Redakcja [illegible] dakcji [illegible] nictwem poczty, p[illegible] desłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce [illegible] zew era 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w [illegible]

[illegible]**cja otwarta** codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** — Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.